

Diament radży



ROBERT LOUIS STEVENSON

Diament Rady

OPOWIEŚĆ ARABSKA

TŁUM. BERTOLD MERWIN

I. HISTORIA PUDEŁKA OD KAPELUSZA

Mr. Harry Hartley otrzymał edukację przeciętnego dżentelmena — z początku w szkole średniej, potem — w jednej z wyższych uczelni stanowiących chlubę Anglii. W okresie tym absolutnie nie zdradzał zamiłowania do studiów. Miał tylko ojca, człowieka słabego i mało wykształconego — ten pozwalał mu tracić czas na doskonalenie się w talentach towarzyskich i na inne błahostki. Po dwóch latach został sierotą i prawie żebrakiem. Do zarobkowania był niezdolny, ani chciał, ani umiał pracować. Ładnie natomiast śpiewał, akompaniując sobie na fortepianie; pełen nieśmiałej gracji — asystował damom; miał zdecydowane zamiłowanie do szachów, a poza tym natura obdarzyła go nader szczęśliwą powierzchownością. Jasnowłosy, różowy, o łagodnym spojrzeniu i miłym uśmiechu, miał wygląd czuły i melancholijny, maniery zaś gładkie i ujmujące. Ale oczywiście nie był to człowiek, który by mógł stanąć na czele armii lub rady stanu.

Dzięki szczęśliwemu trafowi, czy też protekcji, Harry dostał po stracie ojca miejsce sekretarza osobistego generał-majora sir Tomasza Vandeleur. Był to człowiek sześćdziesięcioletni, krzykliwy, despotyczny i porywczy. Oddał on radcy Kaszgaru wielką usługę, o której rozmaicie szeptano. Ten ofiarował mu w darze za to szósty z największych diamentów świata. Dar przemienił generała Vandeleur, biedaka w bogacza, nieznanego, niepopularnego żołnierza w jednego z lwów towarzystwa londyńskiego. Właściciel Diamentu Rady był mile widzianym gościem w kołach najbardziej zamkniętych. Znalazł też kobietę młodą, piękną i dobrze urodzoną, która zgodziła się pościć diament nawet za cenę małżeństwa z sir Tomaszem Vandeleur. Mówiono wtedy, że jeden klejnot przyciągnął drugi, gdyż rzeczy podobne nawzajem się przyciągają. Bo też naprawdę lady Vandeleur była nie tylko kamieniem najczystszej wody, ale też ukazywała się zawsze światu w kosztownej oprawie. Ludzie miarodajni uważali ją za jedną z trzech czy czterech kobiet najlepiej ubierających się w Anglii.

Klejnot

Obowiązki Harry'ego, jako sekretarza, nie były zbyt uciążliwe. Ale nie lubił on żadnej dłuższej pracy, płamienie palców atramentem było mu udręką, a wdzięki lady Vandeleur i jej toalety często wywoływały go z biblioteki do buduaru. Harry czuł się najszczęśliwszy wśród kobiet: mógł z rozkoszą rozmawiać o najnowszych fasonach sukien, krytykować odcienie wstążki albo latać po magazynach mód. Wkrótce z korespondencji sir Tomasza potworzyły się góry zaległości, lady zaś miała jeszcze jedną pannę służącą.

W końcu generał, najniecierpliwszy z dowódców w armii, zerwał się z krzesła w gwałtownym napadzie gniewu i udzielił sekretarzowi dymisji jednym z gestów rzadko używanych między dżentelmenami. Drzwi były na nieszczęście otwarte i Mr. Hartley zleciał ze schodów czołem naprzód.

Powstał cokolwiek potłuczony i mocno zasmucony. Życie w domu generała odpowiadało mu najzupełniej. Obracał się w wyborowym towarzystwie — jakkolwiek pozycja jego tam była cokolwiek wątpliwa, robił mało, jadł doskonale i rozkoszował się ciepłą obecnością lady Vandeleur, którą w sercu ochrzcił znacznie słodszy imieniem.

Znieważony przez but żołnierski, pośpieszył do buduaru i opowiedział swe strapienie.

— Dobrze wiesz, drogi Harry — odparła lady Vandeleur (nazywała go po imieniu jak dziecko lub lokaja) — że nigdy nawet przypadkiem nie robisz tego, co ci mówi generał. Dotyczy to również i mnie, jak mogłeś zauważyć. Ale to nic dziwnego. Jednym zręcznym poddaniem się kobieta może uzyskać przebaczenie za cały rok nieposłuszeństw, a prócz tego sekretarz osobisty to nie żona. Przykro mi stracić ciebie, ale ponieważ nie możesz pozostać w domu, gdzie cię spotkała zniewaga, życzę ci na pożegnanie wszystkiego dobrego i obiecuję zrewanżować się generałowi za ciebie.

Harry'emu zrzęda mina, oczy jego napełniły się łzami i z czułym wyrzutem spoglądał na lady Vandeleur.

— Lady — rzekł — co znaczy ta zniewaga? Źle sędzę o tym, kto nie umie przebaczyć. Ale opuszczać przyjaciół... zrywać więzy przywiązania...

Nie mógł mówić dalej, wzruszenie zdławiło mu gardło i zaczął płakać.

Lady Vandeleur patrzyła na niego z osobliwym wyrazem twarzy.

„Ten głuptasek — myślała — wyobraża sobie, że nas coś łączy. Dlaczego nie miałby zostać lokajem moim zamiast być sługą generała? Jest łagodny, uczynny i zna się na toaletach, a zresztą: ochroni go to od złych przygód. Jest zbyt ładny, by nie wpaść w ręce kobiety”.

Tej samej nocy rozmówiła się z generałem, który już żałował swej porywczoci i Harry został przeniesiony do wydziału damskiego, gdzie życie jego pełne było rajskiej ponęty. Był zawsze ubrany z niezwykłą wytwornością, nosił piękne kwiaty w butonierce i zabawiał gości taktownie i wesoło. Dumą jego było niewolnicze służenie pięknej kobiecie. Rozkazy lady Vandeleur przyjmował jako dowody łaski i chętnie się tym afiszował przed ludźmi, ściągając na siebie pogardę i drwiny ze swej roli mężczyzny — garderobianej i modniarki. Nie brał też swego życia z punktu widzenia moralności. Mężczyźni były to istoty złe, a spędzić z subtelną kobietą dzień na dobieraniu strojów było dla niego pobyt w zaczarowanej wyspie z dala od burz życiowych.

Pewnego poranku wszedł do salonu i zaczął porządkować nuty na fortepianie. W drugim końcu pokoju lady Vandeleur rozmawiała w podnieceniu ze swym bratem, Charliem Peridragonem, starym kawalerem, zniszczonym przez hulaszczę życie i kulejącym na jedną nogę. Na wejście sekretarza osobistego nie zwrócili najmniejszej uwagi i ten mimo woli był świadkiem takiej oto rozmowy.

— Dziś lub nigdy — rzekła lady — raz wreszcie trzeba to zrobić, i właśnie dziś.

— Dziś, jeżeli tak ma być — odparł brat z westchnieniem — ale, Klaro, jest to krok fałszywy, krok rujnujący, krok, którego całe życie będziemy ciężko żałować.

Lady Vandeleur spojrzała na brata stanowczo, choć trochę dziwnie.

— Zapominasz — powiedziała — że człowiek ten w końcu umrze.

— Słowo daję, Klaro — rzekł Pendragon — zdaje mi się, że w całej Anglii nie ma drugiej łotrzyki tak pozbawionej serca jak ty.

— Wy mężczyźni — odparła — jesteście tak z gruba ciosani, że nigdy nie umiecie uchwycić odcieni myśli. Jesteście sami drapieżni, gwałtowni, nieskromni, niedbający o przyzwoitość. Ale niech tylko kobieta pomyśli o swej przyszłości — już to was razi. Nie mam cierpliwości do takich bredni. Chcesz, abyśmy były głupie, a za taką głupotę gardziłbyś przeciętnym bankierem.

— Zdaje się, że masz rację — przyznał brat — byłaś zawsze zręczniejsza ode mnie. I bądź co bądź, znasz moją zasadę: rodzina ponad wszystko!

— Tak, Charlie — odrzekła, biorąc jego dłoń — znam twoją zasadę lepiej od ciebie. „I Klara ponad rodzinę!” Czyż to nie druga część tej zasady? Zaiste, jesteś najlepszy z braci i kocham cię gorąco.

Mr. Pendragon wstał, zmieszany tymi rodzinnymi czułościami.

— Lepiej, żeby mnie nie widziano — zauważył — rozumiem już moją rolę w dokonaniu cudu i będę miał na oku obłaskawionego kota.

— Dobrze — zgodziła się — to jest licha kreatura, może zepsuć wszystko.

Przesłała mu pocałunek od ust i brat wyszedł przez buduar i tylne schody.

— Harry — rzekła lady Vandeleur, zwracając się do sekretarza, gdy tylko zostali sami — mam dla ciebie zlecenie na dziś rano. Ale musisz wziąć dorożkę, nie chcę, żeby mój sekretarz się zabłocił.

Mówiła te słowa z uczuciem i spojrzeniem prawie macierzyńskiej dumy, co sprawiło wielką przyjemność biednemu Harry'emu. Oznajmił więc, że z radością wyświadczy jej tę przysługę.

— Jest to jeden z naszych wielkich sekretów — podjęła figlarnie — i nikt o tym nie powinien wiedzieć prócz mnie i mego sekretarza. Sir Tomasz zrobiłby straszną awanturę, a gdybyś wiedział, jak już zmęczyły mnie te sceny. O Harry, Harry, czy możesz mi wytłumaczyć, dlaczego wy, mężczyźni, jesteście tak gwałtowni i niesprawiedliwi? Ale po co się w ogóle pytam, wiem, że nie możesz mi odpowiedzieć; jesteś jedynym mężczyzną na świecie, który nic nie wie o tych haniebnych namiętnościach. Jesteś dobry i łagodny; dorosłeś do tego, aby zostać przyjacielem kobiety. I wiesz co? Myślę, że wszyscy są brzydalami w porównaniu z tobą.

— To pani — rzekł Harry — jest tak łaskawa dla mnie. Pani mnie traktuje, jak...

— Jak matka — dokończyła lady Vandeleur — staram się być matką dla ciebie. Albo — poprawiła się z uśmiechem — prawie matką. Boję się, że jestem na nią za młoda. Jestem raczej przyjacielem, drogim przyjacielem.

Zatrzymała się dość długo, aby słowa jej zdołały zbudzić oddźwięk w sercu Harry'ego, lecz i dość krótko, by nie pozwolić mu dojść do słowa.

— Ale wszystko to nic nie ma wspólnego z naszą sprawą — ciągnęła dalej. — Znajdziesz pudełko od kapelusza w szafie dębowej z lewej strony. Leży pod nim różowa szarfa, którą miałam na sobie w środę przy sukni koronkowej. Proszę je odnieść niezwłocznie pod tym adresem — i dała mu kartkę — ale proszę: pod żadnym warunkiem nie zostawiać go przed otrzymaniem poświadczenia z odbioru napisanego moją ręką. Zrozumiałeś? Proszę odpowiedzieć! To jest bardzo ważne, zechciej zwrócić na to uwagę!

Harry uspokoił ją, powtarzając najdokładniej jej instrukcję. Chciała mówić coś jeszcze, gdy nagle generał Vandeleur wpadł do pokoju, purpurowy ze złości, z sążnistym rachunkiem modniarki w rękę.

— Czy raczy pani spojrzeć na to? — krzyknął. — Czy obejrzy pani łaskawie ten dokument? Wiem dobrze, że wysłała pani za mnie dla pieniędzy, i spodziewam się, że mogę tyleż wydawać, co każdy inny człowiek w służbie czynnej. Ale, jak Bóg na niebie, nie dopuszczę do tej haniebnej rozrzutności.

— Panie Hartley — rzekła lady Vandeleur — sądzę, że pan rozumie, co trzeba zrobić. Czy mogę prosić, by się pan natychmiast tym zajął?

— Stój pan — rzekł generał do Harry'ego — słówko, zanim pan wyjdzie. — I zwracając się znów do lady Vandeleur:

— Co za polecenie otrzymał ten szanowny osobnik? — zapytał. — Przestałem mu ufać, tak jak i pani, pozwolił pani sobie powiedzieć. Gdyby miał najelementarniejsze zasady uczciwości, powinien by wzgardzić pobyt w tym domu. A za co pobiera pensję, to jest tajemnicą dla wszystkich. Cóż to za polecenie, proszę pani? I dlaczego wysłała go pani stąd tak śpiesznie?

— Przypuszczałam, że chciałeś mi powiedzieć coś ściśle osobistego — odparła lady.

— Dawałaś zlecenie — nastawał generał — nie staraj się mnie oszukać. Na pewno dawałaś mu zlecenie.

— Jeżeli pan obstaje przy tym, by mieć służbę za świadków naszych upokarzających nieporozumień — rzekła lady Vandeleur — to może poproszę pana Hartleya, by usiadł. Nie?... więc może pan iść, panie Hartley. Przypuszczam, że pan dobrze zapamiętał wszystko, co było mówione w tym pokoju. Będzie to pożyteczne dla pana.

Harry na koniec wyrwał się z salonu. Biegnąc po schodach na górę słyszał podniesiony głos generała, deklamującego z patosem, cienkie tony lady Vandeleur, odpierającej każdy zarzut lodowatymi replikami. Podziwiał ją z całej duszy! Jak zręcznie dała wymijającą odpowiedź na indagację! Z jaką pewną siebie bezczelnością powtarzała zlecenie pod strzałami nieprzyjaciela! A z drugiej strony — jak Harry nienawidził jej męża!

We wszystkim tym nie było nic dziwnego: spełniał on zawsze dla lady Vandeleur misje sekretne, mające związek z modniarstwem. Bezgraniczne wybryki i niewiadome zobowiązania lady dawno pochłonęły jej własną fortunę, a fortunę jej męża z dnia na dzień groziły podobną ruiną. Raz czy dwa razy do roku skandal wydawał się rzeczą nieuchronną. Harry dreptał wtedy po sklepach dostawców i płacąc małe zaliczki na poczet wielkich

rachunków, zręcznie kłamiąc, zyskiwał zwłokę i lady z wiernym sekretarzem mogli swobodnie odetchnąć. Harry duszą i sercem sprzyjał tej wojnie, bo nie tylko uwielbiał lady Vandeleur i bał się jej męża, lecz także doskonale rozumiał jej umiłowanie zbytku, gdyż i jego jedyną słabostką był krawiec.

Znalazł pudełko w miejscu oznaczonym, poprawił starannie krawat i opuścił dom. Słońce świeciło jasno. Miał do przebycia daleką drogę i przypomniał sobie z przerażeniem, że nagle wtargnięcie generała nie pozwoliło lady Vandeleur dać mu pieniędzy na dorożkę. Dzień tak duszny męczył go niepomierne. Prócz tego chodzić po Londynie z pudełkiem w ręku było to upokorzenie nieznośne dla młodzieńca tego pokroju. Zatrzymał się i naradzał sam ze sobą. Vandeleurowie mieszkali na Eaton Place, on zaś miał się dostać w okolice Notting Hill; mógł przejść przez park, omijając ludne aleje. Podziękował Bogu, że było jeszcze dość wcześnie.

Chcąc się prędzej pozbyć dręczącej go zmyry, przyśpieszył kroku, przeszedł już część Rensington Garden, gdy w odludnym miejscu wśród drzew zetknął się z generałem.

— Przepraszam, sir Thomas — rzekł Harry grzecznie, zbacząc z drogi, bo generał stał po środku ścieżki.

— Dokąd pan zdąży? — spytał generał.

— Przechadzam się na świeżym powietrzu — odrzekł chłopak. Generał dotknął pudełka laską.

— Z tym pudełkiem? Pan kłamie i pan wie, że pan kłamie.

— Naprawdę, sir Thomas — odparł Harry — nie jestem przyzwyczajony, by się do mnie zwracano w ostry sposób.

— Pan nie rozumie swego stanowiska — rzekł generał — jesteś pan tylko moim służącym, i to służącym, co do którego powziąłem poważne podejrzenia. Kto wie, czy to pudełko nie jest pełne łyżeczek od herbaty?

— Jest w nim cylinder mego przyjaciela — powiedział Harry.

— Bardzo dobrze — odparł generał — w takim razie chcę zobaczyć cylinder tego przyjaciela. Interesują mnie bardzo kapelusze — dodał szyderczym głosem — a wiadomo panu, jak sędzę, że jestem stanowczy.

— Przepraszam, sir Thomas, bardzo mi przykro — wymawiał się Harry — ale jest to sprawa osobista.

Generał, groźnie podnosząc laskę, chwycił go brutalnie za ramię. Harry poczuł się zgubiony. Ale w tej chwili niebo zesłało mu niespodziewanego obrońcę w postaci Charlie Pendragona, który nagle wyłonił się spośród drzew.

— No, no, generale, wstrzymaj pan rękę, nie jest to ani grzecznie, ani po męsku.

— Aha — zawołał generał, kręcąc się dokoła nowego przeciwnika — Mr. Pendragon! I pan przypuszcza, mister Pendragon, że ponieważ miałem nieszczęście ożenić się z siostrą pańską, to będę znosił, aby mi robił uwagi i włąził w drogę taki zdyskredytowany bankrut i libertyn jak pan? Znajomość z lady Vandeleur odjęła mi wszelką chęć do bliższej znajomości z jej rodziną.

— A czy pan sądzi, generale Vandeleur — odparował Charlie — że moja siostra, ponieważ miała nieszczęście poślubić pana, straciła już wszelkie prawa i przywileje kobiety z towarzystwa? Zgadza się, że fakt ten obniżył jej pozycję towarzyską, ale dla mnie jest ona zawsze urodzoną Pendragon. Do mnie należy chronić ją od zniewag i choćby pan był dziesięciokrotnie jej mężem, nie pozwoliłbym na ograniczenie jej wolności ani na zatrzymywanie jej posłańców.

— Jakże to, Mr. Hartley? — zapytał generał — zdaje się, że Mr. Pendragon jest mego zdania. On również podejrzewa, że lady Vandeleur ma coś wspólnego z cylindrem pańskiego przyjaciela?

Charlie spotrzegł, że popełnił niewybaczalny błąd, i co prędzej chciał go naprawić.

— Co, proszę pana? — zawołał — mówi pan, że podejrzewam? Nie podejrzewam nic. Ale kiedy widzę, że ktoś nadużywa swej siły i maltretuje niższych od siebie, pozwalam sobie zainterweniować.

Mówiąc to dał znak Harry'emu, ale ten był zbyt głupi czy zbyt zmieszany, by go zrozumieć.

— W jaki sposób mam wytłumaczyć sobie zachowanie się pana? — zapytał Vandeleur.

— Cóż, w jaki się panu podoba — odparł Pendragon.

General podniósł laskę, wymierzając cios w głowę Charliego. Ale ten, pomimo kulawej nogi, odbił cios parasolem, rzucił się i zwał ze swym przeciwnikiem.

— Biegnij, Harry, biegnij — krzyczał — biegnij, ty bałwanie!

Harry stał przez chwilę jak skamieniały, patrząc, jak dwaj mężczyźni chwiali się w dzikim uścisku. Potem zawrócił i zaczął uciekać. Spojrzawszy przez ramię ujrzał jeszcze generała powalonego i przygnieconego kolanami Charliego, ale wciąż rozpaczliwie walczącego. Ogród napełnił się ludźmi zbiegającymi się zewsząd na miejsce bójki. Widok ten dodał sekretarzowi skrzydeł. Nie zwolnił kroku, aż dotarł do dzielnicy Bayswater i wszedł na chybił trafił w jakąś pustą uliczkę.

Widok dwóch znajomych dżentelmenów bijących się tak brutalnie, głęboko uraził Harry'ego. Pragnął zapomnieć o tym widoku, ale przede wszystkim chciał odgrodzić się od generała Vandeleur jak największą przestrzenią. Zapomniał nawet na razie o danym poleceniu i biegł przed siebie drżący i oszołomiony. Kiedy przypomniał sobie, że lady Vandeleur była siostrą jednego, a żoną drugiego zapaśnika, serce jego przepelniła sympatia dla kobiety, której los dał takie otoczenie. W świetle tych starć nawet jego własne położenie w tym domu nie wydawało mu się tak przyjemne jak zwykle.

Szedł tak jakiś czas, pogrążony w myślach, kiedy przechodzień potrącił go w przejściu i wtedy sobie przypomniał o pudełku od kapelusza.

— O nieba — zawołał — gdzie moja głowa? Dokądże to ja wędruję?

Spojrzał na kopertę, którą mu wręczyła lady Vandeleur. Był na niej adres, ale bez nazwiska. Harry miał tylko zapytać „o pana, który oczekuje paczki od lady Vandeleur”, i gdyby go nie było w domu, zaczekać na jego powrót. Pan ten miał, opiewała dyrektywa, dać w zamian pokwitowanie napisane ręką samej lady. Wszystko to wyglądało nader tajemniczo, Harry'ego najbardziej dziwiło pominięcie nazwiska i formalności kwitowania. Podczas rozmowy nie zastanawiał się nad tym, ale, odczytując teraz kartkę i zestawiając ten fakt z dziwnymi wypadkami dzisiejszego ranka, przekonywał się, że został wmieszany w niebezpieczne sprawy. Na chwilę zwątpił o lady Vandeleur, te sekretne procedery wydały mu się niegodnymi osoby o tak wysokim stanowisku. Odkąd zobaczył, że i wobec niego lady ma tajemnice, zaczął na nią patrzeć krytyczniej. Ale władza jej nad nim była tak wielka, że odrzucił wszelkie podejrzenia i zaczął sobie wyrzucać owe wątpliwości.

Ale i obowiązek, i interes, i uczciwość, i strach popychały go do jednego: do pozbycia się pudełka jak najprędzej, za wszelką cenę.

Pierwszego policjanta zapytał grzecznie o drogę. Okazało się, że jest już blisko miejsca przeznaczenia. Po kilku minutach dotarł do świeżo pomalowanego i utrzymanego bardzo starannie domku w małej uliczce. Kołatka i rączka od dzwonka były porządnie oczyszczone. Kwitujące doniczki ozdabiały gzymsy okien. Firanki z drogiej tkaniny kryły wewnątrz przed oknem ciekawych przechodniów. Miejsce to pełne było tajemniczości i spokoju, a Harry pod tym wrażeniem zapukał dyskretniej niż kiedykolwiek, i starannie niż kiedykolwiek oczyścił obuwie.

Służąca, miła dziewczyna, otworzyła natychmiast drzwi i spojrzała na sekretarza łaskawym okiem.

— Oto paczka od lady Vandeleur — rzekł Harry.

— Wiem — kiwnęła głową dziewczyna — ale pana nie ma w domu. Czy chce pan zostawić mi paczkę?

— Nie mogę — odrzekł Harry — kazano mi oddać ją pod pewnym warunkiem i niestety muszę poprosić, żeby mi pani pozwoliła zaczekać.

— Dobrze — odrzekła — przypuszczam, że może pan zaczekać. Jestem sama, a pan nie wygląda na takiego, co chciałby zjeść dziewczynę. Ale proszę zachowywać się grzecznie, nie pytać o nazwisko tego pana, bo go nie powiem.

— Pani tak mówi? — zawołał Harry — To dziwne! Ale naprawdę od pewnego czasu napotykam wciąż niespodzianki. Jedno chyba pytanie mogę zadać nie popelniając niedyskrecji: czy ten pan jest właścicielem domu?

— Jest lokatorem, ale dopiero od ośmiu dni. A teraz pytanie za pytanie: czy pan zna lady Vandeleur?

— Jestem jej osobistym sekretarzem — odpowiedział Harry skromnie, ale z poczuciem dumy.

— Jest ładna, czyż nie? — ciągnęła dalej służąca.

— O, przepiękna! — zawołał Harry — cudowna, urocza, a niemniej dobra i miła.

— Pan sam jest dość miły — odparła — założę się, że wart pan tuzina pań Vandeleur.

Harry poczuł się oburzony.

— Ja! — zawołał. — Ja jestem tylko sekretarzem.

— Czy to do mnie pan pije? — rzekła dziewczyna. — Bo i ja jestem tylko służącą, proszę pana. — I, cofając się na widok jego zmieszania, dodała: — Wiem, że pan tak nie myślał, i podoba mi się pana spojrzenie. Ale nie jestem dobrego zdania o lady Vandeleur. O, te panie! — krzyknęła. — W jasny dzień posłać takiego dżentelmena jak pan z pudełkiem od kapelusza w rękę.

Podczas tej rozmowy stali wciąż na tym samym miejscu: ona — na schodkach, on — na chodniku, bez kapelusza z powodu upału i z pudełkiem przewieszonym przez rękę. Ale po ostatnich słowach Harry, nie mogąc znieść tych zbyt szczerych komplementów i zachęcających spojrzeń, zmienił postawę i zaczął rozglądać się dokoła. Gdy zwrócił wzrok na dolną część uliczki, ku nieopisanemu przerażeniu oczy jego spotkały wzrok generała Vandeleur. Generał podniecony upałem, pośpiechem i oburzeniem, przebiegał ulicę, polując na swego szwagra. Ale ujrawszy zbrodniczego sekretarza zmienił zamiar; gniew jego odpłynął w inne łóżysko; obrócił się na piętach i poszedł ku domkowi z gwałtownymi gestami i przekleństwami.

Harry jednym skokiem znalazł się w domu, wepchnąwszy służącą przed sobą. — Drzwi zatrasnęły się przed samym nosem prześladowcy.

— Czy jest sztaba u drzwi? Czy nie puści? — pytał Harry, podczas gdy od uderzeń kołatki trzęsły się ściany.

— Co to, co panu grozi? — spytała dziewczyna. — Czy to ten stary dżentelmen?

— Jeżeli on mnie schwyta — wyszeptał Harry — grozi mi śmierć. Prześladowuje mnie przez cały dzień, ma szpadę ukrytą w lasce; jest to oficer z Indii.

— Piękne maniery — zawołała dziewczyna — i proszę, jak on się nazywa?

— To jest generał, mój patron — odrzekł Harry — chodzi mu o to pudełko.

— Czy nie mówiłam? — zawołała dziewczyna z triumfem. — Mówiłam, że myślę o pańskiej lady Vandeleur najgorzej, jak tylko można. Jeżeli ma pan oczy, gdzie trzeba, to musi pan chyba widzieć, jaka ona jest dla pana. Niewdzięczna suka, rękę za to!

Generał wznowił atak na kołatkę, a ponieważ pasja jego wciąż się wzmagała, zaczął walić nogami i rękami.

— Całe szczęście, że jestem sama w domu — zauważyła dziewczyna — pański generał może stukać, aż się zmęczy, a nikt mu nie otworzy. Proszę iść za mną.

Mówiąc to zaprowadziła Harry'ego do kuchni, tu kazała mu usiąść, a sama stanęła przed nim w czulej pozie, trzymając mu rękę na ramieniu. Hałas przy drzwiach nie zmniejszał się, a każde uderzenie w deski bolesnym echem odbijało się w sercu nieszczęsnego sekretarza.

— Jak się pan nazywa? — zagadnęła dziewczyna.

— Harry Hartley — odpowiedział.

— A ja: Prudencja. Czy podoba się panu to imię?

— Bardzo — rzekł Harry — ale proszę posłuchać, jak generał bombarduje w drzwi. Na pewno je wyłamie, a wtedy — na litość boską — cóż mnie może czekać? Śmierć tylko!

— Niech sobie generał stuka — odparła Prudencja — poobija sobie tylko ręce. Czyż pan myśli, że zatrzymałabym pana tu, gdybym nie była pewna, że mogę go ocalić? Och, nie, jestem niezawodnym przyjacielem tych, co mi się podobają, a mamy też drzwi kuchenne wychodzące na inną ulicę. Ale — zatrzymała go, bo na tę wieść natychmiast skoczył na nogi — ale nie pokażę panu wyjścia, aż mnie pan pocałuje. Chcesz, Harry?

— Ależ chcę — zawołał, przypominając sobie zasady galanterii — ale nie za drzwi kuchenne, tylko za to, że jest pani ładna i dobra.

Tu wycisnęła na jej twarzy kilka serdecznych pocałunków, które mu zwróciła równie serdecznie.

Potem Prudencja poprowadziła go do tylnych drzwi i położyła rękę na kluczu.

— Czy pan przyjdzie mnie odwiedzić? — zapytała.

— Ależ koniecznie — odparł Harry — czyż nie zawdzięczam pani życia?

— A teraz — dodała, otwierając drzwi — proszę uciekać co tchu, bo muszę wpuścić generała.

Harry nie potrzebował tej rady. Strach chwycił go za włosy, zmiatał więc co sił. Jeszcze kilka kroków — i już będzie ocalony i powróci do lady Vandeleur. Ale zanim zrobił te kilka kroków, usłyszał, że jakiś głos męski woła go po imieniu, klnąc przy tym straszliwie. Spojrzawszy przez ramię, dostrzegł Charliego Pendragona, wymachującego obiema rękami i dającego znaki, by wracał natychmiast. To nowe zdarzenie tak wstrząsnęło Harrym, który doszedł już do najwyższego napięcia nerwowego, że uznał za najlepsze przyspieszyć swój bieg. Co prawda, mógł przypomnieć sobie scenę w Ogrodach Kensington i skombinować, że jeżeli generał był mu wrogiem, Charlie Pendragon mógł być tylko przyjacielem. Ale ogarnął go gorączkowy szal, nie przyszedł mu na myśl żaden z tych wniosków, biegł tylko coraz prędzej wzdłuż ulicy.

Charlie, sądząc z brzmienia jego głosu i uragań, które z rykiem rzucał za sekretarzem, był w najwyższej pasji. I on biegł co sił, ale przewaga fizyczna była nie po jego stronie; stłukł kulawą nogę padając na bruk, osłabł od krzyku i ruchy jego stawały się wciąż powolniejsze.

Nadzieja ożyła w Harrym. Uliczka była wąska, szła po pochyłości dość stromej, ale była zupełnie odludna. Po obu stronach ciągnęły się ogrodzenia ze zwisającymi gałęziami i, jak daleko sięgało oko zbiega, nie było ani drzwi otwartych, ani idącego człowieka. Opatrzność, zmęczona prześladowaniem, dawała mu teraz otwarte pole do ucieczki.

Niestety, kiedy przebiegał koło furtki ogrodowej, ocienionej leszczyną, nagle został odtrącony w tył i ujrzał na ścieżce ogrodowej postać rzeźnika z nieckami od mięsa w ręku. Harry, zanim rozpoznał to wszystko, już był po drugiej stronie uliczki. Ale drab miał czas mu się przypatrzeć. Widocznie zdziwił go widok dzentelmena na tej uliczce; wyszedł przed furtkę i zaczął wołać za Harrym z ironiczną zachętą.

Ukazanie się jego zbudziło nowy pomysł w Charliem Pendragonie. Chociaż stracił już całkiem oddech, podniósł znowu głos.

— Stój, złodziej! — krzyknął.

Rzeźnik natychmiast podchwycił okrzyk i przyłączył się do pościgu.

Była to ciężka chwila dla ściganego sekretarza. Co prawda, przerażenie popędzało go ze zdwojoną siłą i wyprzedził swych prześladowców. Ale zdawał sobie sprawę, że siły jego są na wyczerpaniu, a niechby tylko jeszcze jeden przechodzień zagroził wąską uliczkę, to położenie jego stałoby się rozpaczliwe.

„Muszę się schować — myślał — i to w przeciągu paru najbliższych minut. Inaczej — wszystko będzie ze mną skończone na tym świecie”.

Zaledwie zaświtała mu ta myśl, gdy nagły zakręt uliczki zasłonił go przed wrogami. W takich okolicznościach nawet człowiek najmniej energiczny zaczyna działać ze stanowczością i siłą, a najostrożniejszy zapomina o przezorności i popełnia szaleństwa. Tak się stało z Harrym i sam Harry, i ci, co go znali, byliby zdziwieni jego śmiałością. Zatrzymał się, przerzucił pudełko od kapelusza przez mur ogrodowy, rozpędził się i, uchwyciwszy za wystający kamień muru, skoczył do ogrodu w ślad za pudełkiem.

Przytomniał po chwili. Siedział na klombie małych krzewów różanych i krwawił, gdyż mur był zabezpieczony od podobnych szturmów obfitym zapasem szkła tłuczonego. W głowie czuł zawrót, a członki jego jakby powychodziły ze stawów. Ogród był utrzymany bardzo starannie, pełno tam było kwiatów o pięknej woni. Spoglądając w głąb, Harry ujrzał szczyt domu. Dom był duży i wyglądał na zamieszkały, ale w przeciwieństwie do ogrodu, był zrujnowany, źle utrzymany i brzydki. W murze nigdzie nie widać było wyjścia.

Rozglądał się automatycznie, nie mogąc powziąć jakiegokolwiek decyzji. Usłyszawszy kroki na żwirze, zwrócił oczy w tym kierunku, niezdolny zarówno do ucieczki, jak do obrony.

Przybysz był to duży, ordynarny, brudny człowiek w ubraniu ogrodnika, z polewaczką w lewej ręce. Człowieka przytomnego zatrwożyłby olbrzymi wzrost ogrodnika i jego czarne, groźne oczy. Ale Harry doznał takiego wstrząsu przy upadku, że nawet się nie przestraszył; pozostał całkiem bierny, gdy ogrodnik podszedł bliżej, chwycił go za ramię i szorstko postawił na nogi.

Przez chwilę obaj patrzyli sobie w oczy — Harry jak urzeczony, człowiek zaś — z gniewem i okrutnym szyderstwem.

— Kim pan jesteś? — zapytał w końcu. — Dlaczego pan skakał przez mój mur i połamał moje *Gloire de Dijon*? Jak pan się nazywa? — dodał, potrząsając nim. — I czego pan tu szuka?

Harry nie mógł wykrztusić ani słowa na swe usprawiedliwienie.

Ale w tej chwili przebiegali koło muru Pendragon i rzeźnik, a kroki ich i ochryple krzyki rozległy się głośnie echem w wąskiej uliczce. Ogrodnik otrzymał odpowiedź i spojrzawszy Harry'emu w twarz z ohydny uśmiechem.

— Złodziej! — powiedział. — I daję słowo, nieźle pan musi na tym wychodzić, bo widzę, że jest pan ubrany jak dżentelmen od stóp do głowy. Czy nie wstyd panu chodzić po ulicy w takim ładnym stroju razem z uczciwymi ludźmi? Mówże, ty psie — wybuchnął człowiek — sądzę, że rozumiesz po ludzku; myślę, że mam z panem trochę do pomówienia, zanim pomaszerujesz pan ze mną na policję.

— Naprawdę, proszę pana — powiedział Harry — wszystko to jest okropnym nieporozumieniem. I jeżeli zechce pan pójść ze mną do sir Thomasa Vandeleur na Eaton Place, obiecuję panu, że wszystko to się wyjaśni. Widzę teraz, że ludzie najbardziej prawi mogą popaść w sytuację całkiem podejrzaną.

— Mój człowieczku — odparł ogrodnik — pójdę z panem nie dalej jak do najbliższego komisariatu. Nie wątpię, że inspektor przespaceruje się z panem z przyjemnością na Eaton Place i wypije herbatkę poobiednią w dostojnym gronie znajomych pana. Albo może pan woli iść od razu do ministra spraw wewnętrznych? Sir Thomas Vandeleur — patrzcie proszę! Myśli pan, że nie potrafię odróżnić prawdziwego dżentelmena od takiego łazika jak pan? Ubranie nie ubranie, czytam w panu jak w książce. Oto koszula, która pewnie kosztuje tyleż co mój kapelusz od święta, ten płaszcz pewnie nie był ani razu nicowany, a buty pana...

Tu oczy ogrodnika skierowały się w dół, obraźliwe komentarze urwały się i zapatrzył się na coś pod nogami. Przemówił wreszcie zmienionym głosem.

— Na litość boską, co to wszystko znaczy?

Harry poszedł za jego wzrokiem i ujrzał na ziemi coś, od czego oniemiał z przerażenia i podziwu. Skacząc, spadł na pudełko i rozdarł je na pół; olbrzymi skarb diamentów wysypał się i leżał, częściowo wdeptany w grunt, częściowo rozrzucony na powierzchni w olśniewającej, królewskiej obfitości. Był tam wspaniały diadem, który podziwiał często na głowie lady Vandeleur, były tam pierścienie i spinki, kolczyki i bransolety, a nawet nieoprawne brylanty lśniły wśród krzewów różanych jak krople rosy poranej. Pomiedzy dwoma ludźmi leżała na ziemi fortuna książęca, fortuna w najbardziej nęcącej i trwałej formie, fortuna, którą można było zgarnąć w fartuch, piękna sama w sobie i odbijająca promienie słońca w milionach tęcz.

— Dobry Boże — rzekł Harry — jestem zgubiony!

Z niewiarygodną szybkością myśl jego cofnęła się i ogarnął całokształt przygód swych od samego rana, pojmując dopiero teraz, w jak smutny splot zdarzeń był się uwikłał¹. Obejrzał się dokoła, jakby szukając pomocy, ale był w ogrodzie sam z lśniącymi diamentami i straszliwym swym interlokutorem. Nasłuchując, słyszał tylko szelest liści i przyspieszone tętno swego serca. Nic dziwnego, że odwaga go opuściła i powtórzył raz jeszcze złamanym głosem:

— Jestem zgubiony!

Ogrodnik rozglądał się na wszystkie strony z miną winowajcy. Ale w oknach nie widać było żadnej ludzkiej twarzy, odetchnął więc swobodniej.

— Nie bój się, ty głupcze — powiedział — najgorsze już się stało. Dlaczego nie mówiłeś od razu, że tu jest dosyć dla dwóch? Dla dwóch? — powtórzył. — Ależ wystarczy i dla dwustu! Ale idźmy stąd, tu nas mogą podpatrzeć. Wyprostuj no pan kapelusz i oczyść ubranie. Nie może pan przecież zrobić wśród ludzi dwóch kroków z tą miną wariata, jaką ma pan teraz.

Podczas gdy Harry poszedł machinalnie za tą wskazówką, ogrodnik ukląkł, pozbierał pośpiesznie rozrzucone klejnoty i włożył je znów do pudełka. Od dotknięcia tych kosztownych kryształków dreszcz przebiegł po szorstkiej postaci człowieka. Twarz jego

¹był się uwikłał — daw. forma czasu zaprzeczonego, oznaczającego czynność wcześniejszą od wyrażonej czasem przeszłym prostym; inaczej: uwikłał się wcześniej, uwikłał się uprzednio. [przypis edytorski]

przeobraziła się, a oczy błysnęły pożądlivością. Zdawało się, że łakomie przedłuża swe zajęcie i pieści się każdym diamentem, który bierze w rękę. Ale nareszcie wszystko było złożone. Ogrodnik, ukrywszy pudełko pod bluzą, skinął na Harry'ego i, poprowadzając go, prowadził ku domowi.

Koło drzwi spotkali młodego duchownego w eleganckiej sutannie, ciemnowłosego i uderzająco pięknego, w którego spojrzeniu słabość łączyła się ze stanowczością. Ogrodnika widocznie zaniepokoiło to spotkanie, ale starał się nie pokazać tego po sobie i zwrócił się do pastora z obleśnym uśmiechem.

— Mamy piękny dzionek, Mr. Rolles — rzekł — piękny dzionek: to takąż prawda, jak to, że Bóg go stworzył. A to jest mój młody przyjaciel, który miał fantazję obejrzeć, moje róże. Pozwoliłem sobie go przyprowadzić, sądzę, że żaden z lokatorów nie będzie nic miał przeciw temu.

— Jeżeli chodzi o mnie — odparł wielebny Mr. Rolles — nic mi to nie szkodzi. Sądzę, że i reszta lokatorów nic nie będzie miała przeciw takiej drobnostce. Ogród należy do pana, Mr. Racburn; żaden z nas nie powinien o tym zapominać. A ponieważ pozwala nam pan swobodnie spacerować po ogrodzie, bylibyśmy bardzo nieuprzejmi, sprzeciwiając się odwiedzinom pańskich przyjaciół. Ale zdaje się — dodał — że ja i ten pan już spotykaliśmy się przedtem. Mam przyjemność widzieć pana Hartley? Z przykrością konstatuję, że pan gdzieś upadł.

I podał mu rękę.

Poczucie nienaruszonej godności i chęć odwleczenia objaśnień kazały Harry'emu odrzucić tę deskę ratunku i zaprzeczyć własnej tożsamości. Przekładał czułą wdzięczność nieznanego ogrodnika ponad ciekawość, a może wątpliwości znajomego.

— Boję się, że to pomyłka — rzekł — nazywam się Thomlinson i jestem przyjacielem pana Racburna.

— Naprawdę? — rzekł Mr. Rolles — podobieństwo jest zdumiewające.

Mr. Racburn, który podczas tej rozmowy stał jak na rozżarzonych węglach, uznał za właściwe zakończyć ją co prędzej.

— Życzę panu przyjemnej przechadzki — powiedział.

I z tymi słowami pociągnął Harry'ego w głąb domu, a stamtąd do pokoju wychodzącego na ogród. Przede wszystkim zapuścił firanki, gdyż Mr. Rolles wciąż stał na tym samym miejscu, gdzie go byli zostawili, w zamyśleniu pełnym niepokoju. Potem wysypał zawartość połamanego pudełka na stół i stał przed skarbem, rozłożonym w całej pełni blasku, ocierając ręce o biodra, z wyrazem drapieżnej chciwości. Wyraz twarzy tego człowieka, miotanego niższymi uczuciami, dodał nową udrękę do cierpień Harry'ego. Wydawało mu się niewiarygodne, że za jednym zamachem został wyrzucony z życia czystych i subtelnych igraszek i pogrążony w brudny, zbrodniczy odmęt. Sumienie nie wyrzucało mu żadnego przestępstwa, a tymczasem cierpiał karę w najostrzejszej i najokrutniejszej formie — obawy kary, podejrzeń porządných ludzi, współnictwa i styczności z naturami podłymi i brutalnymi. Chętnie oddałby życie, byle nie być w jednym pokoju z panem Racburnem.

— A teraz — powiedział ten ostatni, podzieliwszy klejnoty na dwie części prawie równe i przysunąwszy jedną z nich do siebie — a teraz: wszystko na tym świecie otrzymuje zapłatę, nieraz bardzo słodką. Trzeba panu wiedzieć, Mr. Hartley, jeżeli takie jest pańskie nazwisko, że jestem człowiekiem łatwego usposobienia i dobroć moja zawsze szkodziła mi w życiu. Mógłbym schować do kieszeni wszystkie te ładne kamyczki, a pan nie śmiałyby pisnąć ani słówka. Widocznie czuję dla pana sympatię, bo nie mam serca obdrzeć pana ze wszystkiego. A więc z czystej życzliwości radzę panu: podzielmy się. A to — wskazał na dwie kupki klejnotów — wydaje mi się podziałem godnym przyjaźni i sprawiedliwości. Czy ma pan coś do zarzucenia, Mr. Hartley? Nie będę się kłócił o jakąś tam spinkę.

— Ależ, proszę pana — zawołał Harry — to, co pan mi proponuje, jest niemożliwe. Klejnoty nie należą do mnie, nie mogę ich dzielić ani tak, ani owak.

— Klejnoty nie są pana, czy tak? — odparł Racburn. — I pan z nikim nie może podzielić się nimi, nie może pan? Wielka szkoda, bo w takim razie muszę pana odprowadzić do policji. Policja: pomyśl pan o tym — ciągnął dalej — pomyśl pan, jaki to będzie cios dla szanownych rodziców pana, pomyśl pan — i wziął przy tym Harry'ego za przegub ręki — pomyśl o koloniach i sądzie.

— Nie mogę nic na to poradzić — jęknął Harry — to nie moja wina. Czy nie chce pan pójść ze mną na Eaton Place?

— Nie — odparł człowiek — z całą pewnością nie chcę. I mam zamiar podzielić te zabaweczki z panem tu, na miejscu.

I mówiąc to, nagle i boleśnie skrzywił rękę młodzieńca.

Harry nie mógł powstrzymać się od okrzyku, twarz jego okryła się potem. Może strach i ból ożywiły jego inteligencję, dość że w jednej chwili cała sprawa stanęła przed nim w innym świetle. Widział, że nie pozostaje mu nic innego jak zgodzić się na propozycję gbura, a potem znaleźć dom i zmusić go od oddania zdobyczy, gdy już sam będzie wolny od wszelkich podejrzeń.

— Zgadzą się — powiedział.

— Co za jagniątko — zadrwił ogrodnik — myślę, że pan w końcu zrozumiał własny interes. Pudełko to spalę razem ze śmieciami, ciekawi ludzie mogą je poznać. A pan zbieraj swoje błyskotki i pakuj do kieszeni.

Harry usłuchał go. Racburn patrzył na to, a chciwość jego zapalała się przy każdym błysku klejnotu, ujmował go więc z części sekretarza i dołączał do swojej.

Kiedy podział był ukończony, obaj poszli ku drzwiom frontowym; Racburn otworzył je ostrożnie i wyjrzał na ulicę. Widocznie nie było tam przechodniów, bo nagle chwycił Harry'ego za kark i zgiąwszy w pół, tak że nie widział nic, prócz chodnika i schodków przy domach, włókł go przez parę ulic, w ciągu kilku chwil. Harry naliczył trzy rogi ulic, zanim brutal rozluźnił uścisk i z okrzykiem: — Teraz skończone z tobą! — dobrze skierowanym, atletycznym kopnięciem wyrzucił go w przestrzeń głową naprzód.

Kiedy Harry, ogłuszony, z krwawiącym nosem, oprzytomniał wreszcie, Mr. Racburn znikł bez śladu. W pierwszej chwili gniew i ból tak opanowały młodzieńca, że rozplakał się i łkając, stał na środku drogi.

Kiedy wzburzenie jego cokolwiek się uśmierzyło, zaczął się rozglądać i odczytywać nazwy ulic, na skrzyżowaniu których opuścił go ogrodnik. Był wciąż jeszcze w odludnej części zachodniego Londynu, pomiędzy willami i dużymi ogrodami. Ale w oknach widział kilka osób, które były świadkami jego przygody i wnet z domu wybiegła służąca i ofiarowała mu szklankę wody. W tej samej chwili brudny drab, który stał w pobliżu, patrząc spode łba, zbliżył się do niego z drugiej strony.

— Biedny pan — rzekła dziewczyna — jak okropnie obeszli się z panem! Co znowu, ubranie pana jest całkiem zniszczone i podarte na kolanach! Czy zna pan łotra, który tak urządził pana?

— Znam! — zawołał Harry, którego woda cokolwiek orzeźwiła. — Dosięgnę go w domu pomimo jego ostrożności. Obiecuję pani, że drogo mi zapłaci za dzisiejsze sprawy.

— Proszę lepiej wejść do domu, umyć się i oczyścić ubranie — mówiła służąca. — Moja pani przyjmie pana dobrze, proszę się nie obawiać. Podniosę kapelusz pana. Boże wielkiego miłosierdzia — krzyknęła — rozsypał pan diamenty po całej ulicy!

Było tak w samej rzeczy: połowa klejnotów, które mu zostały po podziale z panem Racburn, wysypała mu się z kieszeni przy pchnięciu i błyszczała na ziemi. Podziękował losom, że służąca miała tak bystry wzrok. „Mogłoby się stać jeszcze gorzej” — pomyślał — i odzyskanie tych kilku klejnotów wydało mu się równie ważne jak strata wszystkich innych. Ale niestety! Kiedy schylił się, by podnieść swe skarby, włóczęga natarł na niego, przewrócił jego i służącą, zgarnął dwie pełne garście diamentów i uciekł ze zdumiewającą szybkością.

Harry zerwawszy się z krzykiem, popędził za łotrem, ale ten miał zbyt dobre nogi i musiał znać miejscowość, bo po zbiegu nie zostało nawet śladu.

Całkiem zgnębiony Harry wrócił na miejsce klęski, gdzie wciąż czekała na niego służąca, która oddała mu kapelusz i resztę diamentów. Harry serdecznie jej podziękował i nie mając powodów do oszczędzania, wsiał w pierwszą napotkaną dorożką i pojechał na Eaton Place.

W domu zastał zamęt, jakby w rodzinie zdarzyła się katastrofa. Służba tłoczyła się w hallu i nie mogła lub też nie starała się pohamować wesołości na widok poturbowanej figury sekretarza. Przeszedł koło niej z godnością i udał się wprost do buduaru. Kiedy otworzył drzwi, oczom jego ukazał się widok dziwny i groźny. Ujrzał generała, jego

żonę i, co najdziwniejsze, Charliego Pendragona, siedzących koło siebie i rozmawiających o czymś bardzo ważnym. Harry zrozumiał od razu, że pozostało mu niewiele do wyjaśnienia. Generał usłyszał już spowiedź o zamachu na swą kieszeń i o niefortunnym wykonaniu planu i wszyscy złączyli się w imię wspólnego niebezpieczeństwa.

— Dzięki Bogu — wykrzyknęła lady Vandeleur — oto on! Pudełko, Harry, pudełko!

Ale Harry stał przed nimi milczący i przybity.

— Mówże! — wołała. — Mów! Gdzie pudełko?

Mężczyźni z groźnymi gestami powtórzyli pytanie.

Harry wyjął garść klejnotów z kieszeni. Był bardzo blady.

— Oto wszystko, co pozostało — powiedział — świadczę się Bogiem, że to nie moja wina. Jeżeli państwo będą mieli cierpliwość, to niektóre klejnoty będzie można odzyskać, chociaż inne są na zawsze stracone.

— Niestety — zawołała lady Vandeleur — zginęły wszystkie nasze diamenty, a ja jestem dłużna dziewięćdziesiąt tysięcy funtów za suknie.

— Pani — rzekł generał — mogłaś wyrzucić do rynsztoków wszystkie swoje lachy; mogłaś narobić długów pięć razy więcej, niż wymieniłaś; mogłaś mi ukraść pierścień i przebaczyłbym ci w końcu. Ale pani zabrała mi Diament Radży, oko światła, jak potetycznie mówią ludzie wschodu, dumę Kaszgaru! Zabrałaś mi Diament Radży — zawołał podnosząc ręce — i wszystko, pani, wszystko jest skończone między nami!

— Proszę mi wierzyć, generale Vandeleur — odparła — że są to najmiłsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałam z twych ust. Teraz, gdy spadła na nas ruina, jestem rada z tej zmiany, która mnie uwalnia od pana. Mówił mi pan często, że wyszłam za pana za mąż dla pieniędzy. Pozwoli mi pan powiedzieć, że zawsze gorzko żałowałam tej transakcji. Gdyby pan rozporządzał jeszcze raz swą ręką i gdyby pan miał diament większy od pana głowy, odradzałabym ostatniej służącej to nieprzyjemne i niemożliwe małżeństwo, co zaś pana dotyczy, panie Hartley — zwróciła się do sekretarza — to pan dostatecznie już wystawił na pokaz w tym domu swe zalety; jesteśmy wystarczająco przekonani, że brak panu w równym stopniu męskości, rozsądku i godności osobistej, i widzę dla pana tylko jedno wyjście: usunąć się momentalnie i nigdy tu nie wracać. O swoją pensję może się pan upominać jako jeden z wierzycieli mego męża, gdyż to, co zaszło, jest jego bankructwem.

Zaledwie Harry zrozumiał to obraźliwe przemówienie, gdy napadł na niego generał.

— A tymczasem — rzekł — proszę iść za mną do najbliższego inspektora policji. Może pan oszukiwać prostego żołnierza, ale oko sprawiedliwości odczyta hańbiącą tajemnicę pana. Jeżeli mam żyć w nędzy na starość wskutek pokątnych intryg pana z moją żoną, przynajmniej nie zostanie pan bez nagrody za swą fatygę. I Pan Bóg, proszę pana, nie odmówi mi tej satysfakcji, że będzie pan skubał pakuły aż do śmierci.

Z tymi słowami generał wywłókł Harry'ego z pokoju i pośpieszył z nim do okręgowego urzędu policyjnego.

Tu (mówi mój autor arabski) kończy się godna pożałowania historia pudełka od kapelusza. Ale dla niefortunnego sekretarza cała ta sprawa stała się początkiem nowego, bardziej męskiego życia. Policja łatwo przekonała się o jego niewinności; pomógł on w poszukiwaniach i nawet zjednał sobie pochwałę jednego z naczelników oddziału detektywów za swą prawość i prostotę. Kilka osób zainteresowało się nieszczęśliwym młodzieńcem. Wkrótce odziedziczył pewną sumkę po swej niezamężnej ciotce w Worcestershire. Wtedy ożenił się z Prudencją i wsiadł na okręt, udając się do Bendigo, a jak inni twierdzili, do Trincomalce. Był zadowolony ze swego losu i ożywiony najlepszą nadzieją na przyszłość.

II. HISTORIA MŁODEGO PASTORA

Wielebny Mr. Simon Rolles odznaczył się na polu nauk moralnych i teologicznych. Jego studium *O chrześcijańskim poglądzie na obowiązki społeczne* zyskało mu pewien rozgłos na uniwersytecie oksfordzkim; w kołach uczonych i duchowieństwa krążyły pogłoski, że Mr. Rolles opracowuje duży tom, poważną pracę o autorytecie Ojców Kościoła. Te ambitne zamiary nie dały mu jednak żadnego stanowiska i czekał ciągle na pierwszą swą parafię. Przechadzając się, trafił przypadkowo do tej dzielnicy i zachwycił się bogatą roślinnością cichych ogrodów. Pragnął samotności w pracy, mieszkanie było tanie, zawarł więc umowę z panem Racburnem, ogrodnikiem z Stockdove Lane.

Codziennie, po siedmio- lub ośmiogodzinnych studiach nad św. Ambrozym lub Chryzostomem, przechadzał się wśród róż, pogrążony w medytacji. I była to najproduktywniejsza część jego dnia. Ale nawet szczery głód myśli i ważne zagadnienia czekające rozwiązania nie zawsze mogły uchronić umysł filozofa od drobnych wstrząszeń przy zetknięciu ze światem zewnętrznym. I kiedy Mr. Rolles spotkał sekretarza generała Vandeleur, obdartego i pokrwawionego, w towarzystwie swego gospodarza; kiedy ujrzał, jak obaj zmienili się na twarzy i dawali mu wymijające odpowiedzi, a zwłaszcza gdy sekretarz zaprzeczył swej tożsamości z miną zupełnie pewną siebie, wtedy momentalnie zapomniał o Ojcach i Świętych. Dał się unieść zwykłej poziomej ciekawości.

„Nie myślę się — rozważał — to jest niewątpliwie Mr. Hartley. Jak mógł popaść w takie tarapaty? Dlaczego nie przyznaje się do swego nazwiska? I co może mieć za interesy z tym brutalem, z tym czarnym charakterem — moim gospodarzem?”

Nowy szczegół zwrócił jego uwagę, przerywając mu medytację. Twarz pana Racburna ukazała się w oknie na dole, oczy jego napotkały wzrok pana Rollesa. Ogrodnik zmieszał się i gwałtownie zapuścił frankę.

„Może to wszystko jest w porządku — rozmyślał Mr. Rolles — może nic w tym nie ma, ale przyznaję szczerze, że mi się to wydaje podejrzane. Tych dwoje nie budzi zaufania i boją się wzroku ludzkiego i, jak mi Bóg miły, knują tam coś, jakąś niegodziwość”.

Detektyw, drzemiący w każdym z nas, obudził się i głośno przemówił w panu Rollesie. Szybkim, nierównym krokiem, tak niepodobnym do jego zwykłego chodu, zaczął przechadzać się po ogrodzie. Kiedy przyszedł na miejsce, gdzie Harry przesadził mur, wpadły mu w oczy połamane krzaki i ślady nóg na ziemi. Dokoła leżały szczątki cegieł, a w odlamku butelki tkwił kawałek tkaniny, wyrwany ze spodni. A więc taką drogę do ogrodu obrał osobliwy przyjaciel pana Racburna.

A więc sekretarz generała Vandeleur w ten sposób przyszedł podziwiać ogród! Młody pastor gwizdnął cicho, oglądając grunt. Mógł określić, gdzie Harry zatrzymał się, padając, poznawał płaską stopę pana Racburna, która zostawiła głęboki ślad w chwili, gdy brał Harry'ego za kołnierz. Przyjrząwszy się jeszcze lepiej, zauważył ślady palców na ziemi, jakby tu coś zbierano.

„Daję słowo — pomyślał — to staje się całkiem ciekawe”.

I w tej chwili ujrzał jakiś przedmiot, prawie całkowicie zagrzebany w ziemi. Wygrzebał śpiesznie ozdobne pudełeczko skórzane ze złotym zamknięciem. Było one wdeptane w ziemię i dlatego uszło uwagi pana Racburna. Mr. Rolles otworzył pudełeczko i zapanowało mu oddech ze zdumienia, połączonego prawie ze zgrozą, bo na zielonym aksamicie leżał przed nim wspaniały, cudowny diament najczystszej wody. Był wielkości kaczego jaja, pięknej formy i bez najmniejszej skazy. Gdy padał na niego blask słońca, zaczynał świecić jak lampka elektryczna i płonął na rękę tysiącem ogni wewnętrznych.

Mr. Rolles nie znał się na drogich kamieniach, ale Diament Radży był cudem, który przemawiał sam za siebie. Dziecko wiejskie, znalazłszy go, pobiegłoby z krzykiem do najbliższego domu, dziki zaś padłby twarzą w proch przed tak olśniewającym fetyszem. Piękno kamienia oczarowało wzrok pastora, myśl o jego bezcennej wartości opanowała go całkowicie. Wiedział, że wartość klejnotu, który trzymał w ręku, równała się wieloletnim dochodom arcybiskupstwa, że mógł zań zbudować katedrę wspanialszą niż w Ely lub Kolonii, że on, posiadacz tego klejnotu, byłby wolny na zawsze od klątwy ciężącej na ludzkość i mógłby żyć wedle swych upodobań, bez troski i pośpiechu, bez żadnych przeszkód. Gdy nagle obrócił kamień, blaski zamigotały z nową siłą i zdawały się przesywać jego serce.

Człowiek często postanawia coś w jednej chwili, bez świadomego namysłu, bez udziału władz umysłowych. Tak stało się z panem Rollesem. Obejrzał się śpiesznie dokoła, jak i Mr. Racburn przed nim, nie dostrzegł nic, prócz zalanego słońcem ogrodu, smukłych wierzchołków drzew i domu z zapuszczonymi żaluzjami. W mgnieniu oka zamknął pudełeczko, włożył je do kieszeni i z uczuciem winowajcy pośpieszył do swej pracowni.

Wielebny Simon Rolles ukradł Diament Radży.

Po południu nadeszła policja z Harrym Hartley'em. Przerażony ogrodnik natychmiast wskazał swój skarb. Klejnoty zostały poznane i spisane w obecności sekretarza. Mr. Rolles zaś zachował się nader uprzejmie, z zupełną swobodą opowiedział wszystko, co mu

Klejnot, Pokusa, Przemiana

było wiadome, i wyraził ubolewanie, że niczym więcej nie może dopomóc urzędnikom w wykonaniu ich obowiązku.

— Przypuszczam — dodał — że panowie już są u celu.

— Bynajmniej — odparł urzędnik ze Scotland Yardu i opowiedział o drugim rabunku, którego ofiarą stał się Harry, opisując zaginione klejnoty, w szczególności zaś Diament Radży.

— Ten diament to cały majątek — zauważył Mr. Rolles.

— Nie jeden: dwadzieścia majątków — zawołał urzędnik.

— Im więcej jest wart — chytrze zauważył Simon — tym trudniej go sprzedać. Nie można przecież zmienić wyglądu takiej rzeczy i równie łatwo jest wystawić na sprzedaż katedrę św. Pawła.

— O tak — rzekł urzędnik — ale jeśli złodziej jest sprytny, rozetnie go na trzy lub cztery części i to wystarczy, aby zrobić z niego bogacza.

— Dziękuję — rzekł duchowny — objaśnienia pańskie zaciekały mnie w najwyższym stopniu.

Na to urzędnik oświadczył, że w zawodzie swym poznał wiele ciekawych rzeczy, po czym pożegnał się.

Mr. Rolles wrócił do swego pokoju. Wydał mu się mniejszy i bardziej pusty niż zwykle. Materiały do jego wielkiego dzieła przestały go całkiem interesować i z pogardą spozierał na swą bibliotekę. Wziął jeden po drugim kilka tomów pism Ojców Kościoła, ale nie znalazł tam tego, czego szukał.

— Ci starzy dżentelmeni — pomyślał — są niewątpliwie pisarzami wartościowymi, ale najwidoczniej wcale nie znali życia. Oto ja, posiadając dość wiedzy, aby zostać biskupem, nie mam pojęcia, jak postąpić ze skradzionym diamentem. Zwyczajny policjant daje mi wskazówkę, a ja ze wszystkimi mymi tomami nie wiem, jak z niej korzystać. To przekonuje mnie, że wiedza uniwersytecka mało jest warta.

Kopnąwszy półkę z książkami, nałożył kapelusz i poszedł do klubu, którego był członkiem. W miejscu tym, gdzie zbierali się ludzie z wyższych sfer towarzyskich, spodziewał się znaleźć człowieka doświadczonego, który by mógł mu udzielić dobrej rady. W czytelni zobaczył kilku pastorów z prowincji i archidiakona. Było tam trzech dziennikarzy i autor piszący o metafizyce; grali oni w bilard; przy obiedzie zaś siedzieli tylko pośledniejsi bywalcy klubu, o powierzchowności pospolitej i nieciekawej. Żaden z nich — myślał mr. Rolles — nie będzie się znał więcej od niego na takich niebezpiecznych rzeczach, żaden z nich nie potrafi dać mu wskazówki w jego obecnych kłopotach. Wreszcie, po kilku nudnych rozmowach, zetknął się w palarni z człowiekiem o szlachetnej, imponującej postawie, ubranym z wyszukaną prostotą. Palił cygaro i czytał „Fortnightly Review”; na twarzy jego nie było najmniejszego śladu troski lub zmęczenia; było w nim coś, co skłaniało do otwartości i żądało uległości. Im dłużej młody pastor mu się przyglądał, tym bardziej przekonywał się, że trafił na osobę mogącą mu udzielić dobrej rady.

— Sir — powiedział — proszę mi wybaczyć mą natarczywość, ale, sądząc z powierzchowności, jest pan człowiekiem z wyższego towarzystwa.

— Mam dość poważne dane, by aspirować do tego — odparł cudzoziemiec, odkładając miesięcznik i spojrzał na pastora ubawiony i zdziwiony.

— Ja, proszę pana — mówił dalej duchowny — jestem samotnikiem, moim książkowym, istotą od kałamarzy i tomów Ojców Kościoła. Świeżo zdarzył się wypadek, który żywo uprzytomnił mi moją głupotę, i chcę teraz nauczyć się życia. Życiem dla mnie nie są nowele Thackereya — dodał — lecz zbrodnie i tajne możliwości naszego społeczeństwa oraz zasady mądrego postępowania w okolicznościach wyjątkowych. Umieję przysiąść fałdów². Czy można nauczyć się tego z książek?

— Trudno mi panu odpowiedzieć — rzekł cudzoziemiec — przyznaję, że nie bardzo znam się na książkach, które czytuję przeważnie tylko dla rozrywki w podróży, chociaż przyznaję, że istnieją bardzo dokładne traktaty o użyciu globusów, rolnictwie oraz o sztuce

²przysiąść fałdów — poświęcić się usilnym studiom (wymagającym długotrwałego siedzenia nad książkami). [przypis edytorski]

robienia kwiatów z papieru. Boję się, że nie znajdzie pan w książkach nic prawdziwego o innych dziedzinach życia. Ale czekaj pan, czytał pan Gaboriau³?

Mr. Rolles oświadczył, że nie słyszał nigdy nawet tego nazwiska.

— Może pan zacerpnąć niektóre pojęcia z Gaboriau — zakonkludował cudzoziemiec — przynajmniej wywiera on wrażenie. A że jest to autor pilnie czytany przez księcia Bismarcka, przynajmniej będzie pan tracił czas w dobrym towarzystwie.

— Sir — rzekł pastor — jestem panu nieskończenie obowiązany za uprzejmość.

— Pan mi już za nią odplacił — odparł tamten.

— W jaki sposób? — zapytał Simon.

— Pokazał mi pan coś nowego — odparł dżentelmen i grzecznym gestem, jakby prosząc o pozwolenie, zabrał się dalej do czytania „Fortnightly Review”.

Wracając do domu Mr. Rolles kupił dzieło o drogich kamieniach i kilka utworów Gaboriau, które przerzucił żarliwie przez cały ranek. Ale chociaż odkrył mu całkiem nieznaną dziedzinę życia, jednak nie dowiedział się z nich, co zrobić z ukradzionym diamentem. Drażniło go też, że wiedzę o życiu musiał wyszukiwać wśród historii romansowych, zamiast mieć ją w streszczeniu, w formie podręcznika. Orzekł więc, że chociaż Gaboriau dużo myślał, ale brakowało mu całkowicie metody. Natomiast zachwycony był talentami i charakterem Lecocq’a.

— Był naprawdę wielkim człowiekiem — przeżuwał myśli Mr. Rolles — znał świat, jak ja znam *Ewidencje* Paleya. Nie było przedsięwzięcia, którego by nie doprowadził do skutku własną ręką, pomimo największych przeszkód. Nieba! — wybuchnął nagle — czyż to nauka nie dla mnie? Czy nie powinienem sam nauczyć się krajać diamenty?

Zdawało mu się, że wybrnął wreszcie z ambarasu. Przypomniawszy sobie, że zna jubilera w Edynburgu, niejakiemu B. Macculloch, który z przyjemnością nauczyłby go krajać kamienie. Kilka miesięcy, może kilka lat brudnego rzemiosła, a nauczy się, jak ma podzielić i zużytkować Diament Radzy. Potem powróci do swych studiów jako bogaty uczony żyjący zbytkownie, otoczony powszechnym szacunkiem i zazdrością. We śnie snuły się przed nim wizje złociste i obudził się rano orzeźwiony, z lekkim sercem.

Dom Racburna miał być tego dnia zamknięty przez policję i było to dostatecznym pretekstem do odjazdu dla pastora. Wesoło spakował rzeczy, przeniósł je do King’s Cross, gdzie zostawił je w szatni, i wrócił do klubu, aby przeczekać popołudnie i zjeść obiad.

— Jeżeli dziś obiadasz tu, Rolles — powiedział do niego jeden ze znajomych — możesz zobaczyć dwóch ludzi, najgodniejszych uwagi w całej Anglii: księcia Floryzela Czeskiego i starego Jacka Vandeleur.

— Słyszałem o księciu — odparł Mr. Rolles — a generała Vandeleur spotykałem nawet w towarzystwie.

— Generał Vandeleur to osioł — odparł tamten — mowa tu o jego bracie Jacku, największym awanturniku, najlepszym znawcy drogich kamieni i najchytrzejszym dyplomacie w całej Europie. Czy nie słyszałeś nigdy o jego pojedynku z księciem de Val d’Orge? O jego czynach bohaterskich i okrucieństwach, gdy był dyktatorem Paragwaju? O jego zęczności, z jaką odzyskał klejnoty sir Samuela Levi? Albo też o usługach oddanych przez niego podczas powstania w Indiach, usługach, z których rząd skorzystał, lecz których nie chciał głośno uznać? Zatraca się tu różnica między dobrą sławą a hańbą, bo Jack Vandeleur ma równe prawa do jednej i do drugiej. Pobiegnij — mówił dalej — zajmij stół obok nich i nadstaw uszu. Usłyszysz rzeczy dziwne, bądź pewien.

— Ale jakże ich poznam? — zapytał pastor.

— Jak ich poznać? — zawołał przyjaciel — jak to, książę jest najpiękniejszym dżentelmenem w Europie, jest to jedyny z ludzi żyjących, który ma wygląd króla. Co zaś do Jacka Vandeleur, to wyobraź sobie Ulissesa w wieku lat siedemdziesięciu, z blizną od szabli na twarzy: to on! Już ich poznasz. Można spotkać tutaj co dzień obu, z wyjątkiem dnia derby!

Rolles pośpieszył do jadalni. Przyjaciel jego miał słuszną rację: osób tych trudno było nie poznać. Stary Jack Vandeleur był potężnej budowy ciała i widocznie zahartowany

³Gaboriau, *Émile* (1832–1873) — fr. powieściopisarz i dziennikarz, pionier literatury kryminalnej; jego pierwszą powieścią detektywistyczną była książka *L’Affaire Lerouge*, w której wprowadził postać młodego policjanta nazwiskiem Lecocq; Monsieur Lecocq powracał w kolejnych powieściach Gaboriau. [przypis edytorski]

na największe trudy. Nie wyglądał ani na wojskowego, ani na marynarza, ani na jeźdźca przyzwyczajonego do siodła; ale była w nim mieszanina tego wszystkiego, wynikająca z różnorodności jego uzdolnień i przyzwyczajzeń. Miał orle, zuchwałe rysy twarzy o wyrazie aroganckim i drapieżnym. Robił wrażenie prędkiego, gwałtownego człowieka czynu, pozbawionego wszelkich skrupułów. Bujny, biały włos, głębokie cięcie od szabli przez nos i skroń dodawały dzikości głowie, która już sama przez się była wybitna i groźna.

W towarzyszcu jego, księciu czeskim, Mr. Rolles poznał ze zdumieniem pana, który radził mu czytać Gaboriau. Zapewne książę, który rzadko odwiedzał klub, będąc członkiem honorowym zarówno tego, jak i wielu innych klubów, czekał na Jacka Vandeleur, kiedy Simon zaczął go poprzedniego wieczora.

Inni goście skromnie cofnęli się, zajmując miejsca po rogach sali i pozostawiając znakomitą parę pośrodku, w pewnym odosobnieniu. Ale młodego pastora nie krępowała dostojność osób, podszedł śmiało i zajął miejsce przy najbliższym stole.

Rozmowa była w istocie czymś całkiem nowym dla uczonego. Eks-dyktator Paragwaju opowiadał o nadzwyczajnych przygodach w czterech różnych stronach świata. Książę zaopatrywał opowiadanie w komentarze, które dla człowieka myślącego były ciekawsze od samych przygód. Pastor nie wiedział, czy ma bardziej podziwiać zuchwałego bohatera tych przygód, czy wytrawnego znawcę życia, czy człowieka, który śmiało rozpowiadał o swych czynach i niebezpieczeństwach, czy też człowieka, który, jak Bóg, niczego sam nie doznał, a zdawał się wszystko wiedzieć. W rozmowie zaznaczały się ich odmienne charaktery. Dyktator był brutalny w gestach i mowie; ręka jego otwierała się, zamykała i ciężko spadała na stół, głos był szorstki i donośny. Książę zaś był wzorem łagodnej grzeczności i spokoju; najmniejszy jego ruch, najłżejsza intonacja głosu wywierała większe wrażenie niż pantomina i wykrzykniki jego towarzysza; jeżeli zaś mówił o przeżyciach osobistych, nie podkreślał ich wcale, tak że ginęły w reszcie opowiadania.

W końcu rozmowa zesłała na ostatnie kradzieże i na Diament Radży.

— Lepiej by było, gdyby diament ten spoczywał na dnie morza — zauważył książę Floryzel.

— Wasza Wysokość rozumie — odparł dyktator — że jako Vandeleur nie zgadzam się z tym życzeniem.

— Mówię ze względów moralnych — podjął książę — klejnoty tak olbrzymiej wartości powinny znaleźć się tylko w zbiorach monarchy lub w skarbcu wielkiego narodu. Oddawać je w ręce przeciętnych ludzi jest to nałożyć cenę na głowę Cnoty: i jeżeli radża Kaszgaru, książę, jak sądzę, bardzo rozumny, chciał się pomścić na Europejczykach, nie mógł tego dokonać lepiej, jak rzucając nam to jabłko niezgody. Nie ma uczciwości dość silnej, by zdołała wytrzymać tę pokusę. Ja sam, Mr. Vandeleur, który mam wiele obowiązków i własnych przywilejów, ja sam wątpię, czy mógłbym trzymać ten trujący kryształ w ręku i ocaleć! Co do pana, łowcy diamentów z zamiłowania i fachu, to sądzę, że nie ma takiej zbrodni, notowanej na liście oskarżonych, której by pan nie popełnił, przekonany jestem, że nie ma takiego przyjaciela na świecie, którego by pan nie zdradził, nie wiem, czy pan ma rodzinę, ale gdyby pan miał, oświadczam, że pan poświęciłby swe dzieci — i to wszystko po co? Nie dla bogactwa, nie dla wygód i szacunku, ale tylko po to, by nazwać swą własnością ten diament w ciągu roku czy dwóch lat, może aż do czasu, kiedy pan umrze, po to by kiedy niekiedy otworzyć kasę ogniotrwałą i spojrzeć na niego, jak się patrzy na obraz.

— To prawda — potwierdził Vandeleur — polowałem na wiele rzeczy, od kobiet i mężczyzn począwszy aż do moskitów; nurkowałem po korale; ścigałem zarówno wiewiórki jak tygrysy, ale diament jest najlepszą zdobyczą. Jest piękny i cenny, tylko on może naprawdę wynagrodzić gorączkę łowów. W tej chwili, jak Wasza Wysokość zapewne przypuszcza, jestem na tropie. Mam pewny chwyt, ogromnie doświadczenie; znam każdy klejnot w kolekcji mego brata, jak owczarz zna swe owieczki, i albo umrę, albo odzyskam wszystkie kamienie aż do ostatniego.

— Sir Thomas Vandeleur będzie bardzo wdzięczny — rzekł książę.

— Nie jestem tego pewien — odparł dyktator ze śmiechem — któryś z Vandeleurów: może. Tomasz lub Jan, Piotr lub Paweł: jesteśmy wszyscy apostołami.

— Nie zrozumiałem dobrze słów pana — rzekł książę z pewnym niesmakiem.

W tej chwili portier zawiadomił pana Vandeleura, że powóz jego zajechał.

Klejnot

Klejnot

Mr. Rolles spojrział na zegarek i zobaczył, że i on musi też iść; z przykrością tedy ruszył do wyjścia razem z łowcą diamentów; wołałby go nigdy już w życiu nie spotkać.

Ze względu na to, że studia nadwerżyły system nerwowy młodzieńca, miał zwyczaj podróżować z komfortem i na obecną podróż zamówił sobie miejsce w sleepingu.

— Będzie panu wygodnie — rzekł posługacz — w przedziale pana nie ma nikogo, a w sąsiednim jedzie tylko jeden starszy pan.

Już pociąg miał ruszyć, bilety skontrolowano, gdy Mr. Rolles ujrzał towarzysza podróży, którego kilku tragarzy instalowało w przedziale. Był to ten właśnie człowiek, z którym najmniej pragnąłby się spotkać — Jack Vandeleur, eks-dyktator.

Wagony sypialne na wielkiej linii północnej są podzielone na trzy części — w środku, między dwoma przedziałami, jest dla podróżnych trzeci przedział z umywalnią. Drzwi separowały przedziały od umywalni, ale ponieważ nie było w nich kluczy ani zasuwek, cała przestrzeń w wagonie była faktycznie wspólnym terenem.

Zbadawszy swe położenie, Mr. Rolles uczuł się bezbronny. Gdyby dyktator zechciał złożyć mu w nocy wizytę, nie pozostawałoby mu nic innego, jak ją przyjąć. Nie miał środków obrony i leżał wystawiony na atak, jakby w otwartym polu. Męczył się jak w agonii. Przypomnił sobie z wewnętrzną trwogą przechwiałki swego towarzysza podróży, rzucane przez stół, i wyznanie niemoralności, które przejęło niesmakiem księcia. Przypomnił sobie, że czytał, jak niektóre osoby mają dziwny dar wyczuwania obecności drogich metali; podobno na odległość, nawet przez ściany odgadują, że gdzieś jest złoto. Może to samo jest z diamentami? I w takim razie któż mógłby posiadać ten zmysł w wyższym stopniu od osobistości, którą otaczał nimb miana Łowcy Diamentów? Takiego człowieka należało się obawiać pod każdym względem, toteż z utęsknieniem wyglądał nadejścia dnia.

Tymczasem nie zaniedbał żadnej ostrożności, schował diament do najgłębszej kieszeni swego płaszcza i pobożnie polecił się opiece Opatrzności.

Pociąg biegł dalej szybko i równo. Prawie w połowie drogi sen zmógł trwogę, którą czuł w sercu Mr. Rolles. Opierał mu się przez pewien czas, ale sen opanowywał go coraz bardziej i wreszcie, niedaleko Yorku, wyciągnął się i zamknął oczy. I w tejże chwili świadomość opuściła go. Ostatnia myśl jego była o okropnym sąsiedzie.

Kiedy się obudził, panowała ciemność zupełna, tylko słabo migotała przysłonięta lampka. Łoskot kół i kołysanie się pociągu świadczyło, że bieg jego się nie zwolnił. Usiadł wyprostowany, przejęty strachem panicznym, bo dręczyły go ciężkie sny. Upłynęło parę chwil, zanim oprzytomniał. Kiedy położył się znowu, sen go odbiegł, leżał więc z otwartymi oczami, z mózgiem silnie podnieconym i wzrokiem utkwionym w drzwi umywalni. Nasunął filcowy pastorski kapelusz na oczy, aby je zasłonić od światła. Użył zwykłego sposobu ludzi chorych i trapionych bezsennością — liczył do tysiąca albo starał się nie myśleć, aby przywołać sen. Ale wszystko było daremne; niepokoił go tuzin różnych przyczyn od razu — stary człowiek w drugim końcu wagonu prześladował go, przybierając coraz okropniejsze kształty. Diament w kieszeni w każdej pozycji zawadzał, palił, był za duży, uwierał jego ciało, przez najkrótsze mgnięcia podrywało go coś, aby go wyrzucić za okno.

Kiedy tak leżał, zaszło coś dziwnego.

Zasuwane drzwi umywalni uchyliły się trochę, potem więcej i w końcu odsunęły się na przestrzeń dwudziestu cali. Lampa w umywalni nie była przyćmiona i Mr. Rolles ujrzał w drzwiach pana Vandeleura w pozie wyrażającej głęboką uwagę. Uświadamiał sobie, że wzrok dyktatora zawisł na jego twarzy i instynkt samozachowawczy kazał mu wstrzymać oddech, zahamować najmniejsze poruszenie i ze spuszczonej powiekami spoglądać na gościa spod rzęs. Po chwili głowa znikła i drzwi zasunęto.

Dyktator nie przyszedł, by atakować, lecz aby obserwować, wyglądał nie jak człowiek napadający, lecz jak zagrożony napaścią. Jeżeli Mr. Rolles obawiał się go, to i on ze swej strony był zaniepokojony jego obecnością. Zdawało się, że przyszedł tylko sprawdzić, czy jedyny jego towarzysz podróży śpi, a gdy znalazł go uspiionym, odszedł natychmiast.

Pastor skoczył na nogi. Od nadmiernej trwogi przeszedł do zuchwalstwa. Uprzytomnił sobie, że hałas pociągu zagłusza wszystkie inne dźwięki i postanowił oddać wizytę, którą mu złożono przed chwilą, a tam niech się stanie, co chce. Zdjął płaszcz, by nie krępował jego ruchów, wszedł do umywalni i zaczął nasłuchiwać. Jak się spodziewał, nic nie było

słysząc wśród szumu mknącego pociągu; wtedy, kładąc rękę na drzwiach, odsunął je ostrożnie. Nagle stanął i nie mógł stłumić okrzyku zdumienia.

Jack Vandeleur miał na głowie futrzaną czapkę podróżną z nausznikami i ta czapka wraz z loskotem kół nie pozwalała mu dosłyszeć, co się dzieje. Przynajmniej nie podniósł głowy i nie przerwał swego dziwnego zajęcia. Między nogami jego stało otwarte pudełko od kapelusza; w jednej ręce trzymał rękaw swego futra fokowego, w drugiej — ogromny nóż, którym rozpruwał właśnie podszewkę rękawa. Mr. Rolles słyszał o ludziach noszących pieniądze w pasie, a ponieważ nie znał innych pasów prócz tenisowych, nie wiedział, jak to się robi. Ale tu miał dziwniejszą rzecz przed oczami, bo oto Jack Vandeleur ukrywał diamenty w podszewce swego rękawa i młody duchowny widział, jak diament po diamentcie, błyskając, spadał do pudełka.

Stał przykuty do miejsca, patrząc na to niezwykle zajęcie. Diamenty były przeważnie drobne i mało różniły się od siebie formą i blaskiem. Nagle Vandeleur napotkał jakąś przeszkodę, zaczął odpruwać podszewkę obiema rękami i zgarbił się nad swą robotą. Dopiero po długich manipulacjach wydobyl diamentowy diadem i oglądał go przez chwilę zanim złożył wraz z innymi klejnotami do pudełka. Diadem rozjaśnił myśli w głowie pana Rollesa; poznał natychmiast, że jest to część skarbu skradzionego Harry Hartleyowi przez włóczęgę. Nie mogło być pomyłki; tak właśnie opisywał go detektyw; były na nim gwiazdy rubinowe z wielkim szmaragdem pośrodku, przeplatające się półksiężycy i dwa gruszkowate wisioriki (każdy z całego kamienia), które nadawały szczególną wartość diademowi lady Vandeleur.

Mr. Rolles poczuł ogromną ulgę; dyktator był tak samo zamieszany, jak on i żaden z nich nie zechciałby gadać o drugim. W pierwszym uniesieniu szczęścia pastorni wymknęło się głębokie westchnienie ulgi. A że w piersi czuł duszność, a gardło mu wyschło z emocji, zakaszał nagle.

Mr. Vandeleur podniósł głowę; twarz jego wykrzywiła najczarniejsza, potworna pasja; wytrzeszczył oczy i poruszył dolną szczęką w zadziwieniu przechodzącym prawie w furję. Instynktownym ruchem przykrył płaszczem pudełko. Przez mgnienie oka obaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Była to krótka pauza, ale wystarczyła panu Rollesowi; należał on do ludzi szybko orientujących się w niebezpieczeństwie. Zdecydował się na akcję bardzo zuchwałą i chociaż czuł, że wystawia życie na hazard, pierwszy przerwał milczenie.

— Przepraszam — powiedział.

Dyktator drgnął lekko i przemówił ochryple:

— Czego pan tu potrzebuje?

— Interesuję się bardzo diamentami — odparł Mr. Rolles, w zupełności panując nad sobą. — Dwóch znawców musi się zapoznać. Posiadam tu przy sobie drobnostkę, która mi posłuży za rekomendację.

I mówiąc to, wyjął spokojnie pudełeczko z kieszeni, błysnął przed oczyma dyktatorowi Diamentem Radzy i schował go z powrotem.

— Należał kiedyś do pańskiego brata — dodał.

Jack Vandeleur patrzył na niego wzrokiem bolesnego zdumienia, ale nie ruszał się ani też nic nie mówił.

— Zauważyłem z przyjemnością — podjął młodzieniec — że posiadamy obaj klejnoty z tej samej kolekcji.

Dyktator był niezmiernie zaskoczony.

— Przepraszam — odezwał się — zaczynam rozumieć, że się starzeję. Zupełnie nie jestem przygotowany na drobne zajęcia w tym rodzaju. Ale niechże pan przynajmniej wyjaśni mi jedno: czy wzrok mnie ludzi, czy też mam przed sobą pastora?

— Jestem duchownym — odparł Mr. Rolles.

— A więc tak — zawołał tamten — odtąd, póki życia, nie pozwolę nic mówić o sukience duchownej!

— Pan mi pochlebia — rzekł Mr. Rolles.

— Przepraszam — odparł Vandeleur — przepraszam, młodzieńcze. Pan nie jest tchórzem, pozostaje tylko do stwierdzenia, czy nie jesteś najgorszym z głupców. Może — mówił dalej — może pan będzie tak łaskaw udzielić mi kilku informacji. Przypuszczam, że istnieje jakiś powód tak zdumiewającej bezczelności, chciałbym się dowiedzieć jaki.

— To jest bardzo proste — rzekł pastor — pochodzi ona z mego wielkiego niedoświadczenia życiowego.

— Chciałbym się o tym przekonać — odparł Vandeleur.

Wtedy Mr. Rolles opowiedział całą swą historię w związku z Diamentem Radży, od chwili znalezienia go w ogrodzie Racburna, aż do chwili opuszczenia Londynu w pociągu szkockim. Dodał krótki zarys swych myśli i uczuć podczas podróży i zakończył tymi słowami:

— Poznawszy diadem, przekonałem się, że jesteśmy w tym samym położeniu względem społeczeństwa, i to natchnęło mnie nadzieją, która, przyzna pan, była dość uzasadniona, że może się pan stać mym partnerem w trudnościach i naturalnie, również w korzyściach mego przedsięwzięcia. Dla pana, przy jego wiedzy specjalnej i wielkim doświadczeniu w handlu diamentami, rzecz ta nie będzie przedstawiała żadnej trudności, ja zaś widzę przed sobą przeszkody nie do przewyciężenia. Z drugiej strony osądziłem, że więcej stracę, krając diament na części, i to ręką niezręczną, niż wynagradzając odpowiednio pomoc pana. Temat to delikatny i może w sposób nie dość subtelny go poruszam. Ale proszę pamiętać, że sytuacja taka jest dla mnie nowością i że nie znam prawideł etykiety w takich wypadkach. Sądzę bez zarzucia, że mógłbym pana ochrzcić lub ożenić zadowolająco, ale każdy człowiek ma inne talenty, ja zaś talentu do handlu diamentami nie posiadam.

— Nie chcę pochlebiać panu — odparł Vandeleur — ale daję słowo, że ma pan niezwykłą predyspozycję do życia kryminalnego. Posiada pan więcej talentów, niż pan przypuszcza, i chociaż spotykałem dużo lotrów w różnych częściach świata, nie spotkałem ani jednego tak bezczelnego. W górę uszy Mr. Rolles, pan nareszcie obrał sobie właściwy zawód. Co do pomocy, może pan mną rozporządzać. Mam w Edynburgu do załatwienia pewną sprawę dla mego brata i zabawię tam dzień tylko, po czym wrócę do Paryża, gdzie mieszkam stale. Jeżeli pan sobie życzy, proszę mi tam towarzyszyć. I przed upływem miesiąca spodziewam się pomyślnie załatwić pański interesik.

W tym miejscu, wbrew wszelkim przepisom sztuki, nasz autor arabski przerywa „Historię młodego pastora”. Uważam takie praktyki za godne pożałowania i potępienia, ale muszę iść za autorem i odsyłam czytelnika po zakończeniu przygód pana Rollesa, do następnego opowiadania, „Historii domu z zielonymi żaluzjami”.

III. HISTORIA DOMU Z ZIELONYMI ŻALUZJAMI

Francis Scrymgeour, urzędnik Banku Szkockiego w Edynburgu, do lat dwudziestu pięciu żył w spokojnym, uczciwym środowisku rodzinnym. Matka jego umarła, gdy był jeszcze mały, ale ojciec jego, człowiek rozsądny i prawy, dał mu dobre wykształcenie i przyzwyczaił w domu do porządku i skromności. Francis, z natury łagodny i uczuciowy, łatwo ulegał dobremu wpływowi i oddał się duszą i ciałem swemu zajęciu. Głównymi jego rozrywkami była przechadzka w sobotę po południu, jakiś obiad z powodu uroczystości rodzinnej i coroczna podróż dwutygodniowa w góry Szkocji lub nawet na kontynent. Szybko rósł w łaskach u zwierzchników i pobierał już dwieście funtów rocznie, a miał widoki na podwojenie tej pensji. Mało było młodzieńców tak zadowolonych ze swego losu, mało chętniejszych i pracowitszych od Francis Scrymgeour. Czasami wieczorem, przeczytawszy gazetę, grywał na flecie, chcąc zrobić rozrywkę swemu ojcu, którego cnoty cenił wysoko.

Pewnego dnia otrzymał list ze znanej kancelarii adwokackiej, wzywający go niezwłocznie. Na liście tym był napis: „Poufny i ściśle osobisty”, zaadresowany zaś był do banku, nie do domu. Były to dwie okoliczności niezwykle, toteż natychmiast usłuchał wezwania. Starszy szef firmy, człowiek o manierach surowych, powitał go poważnie, poprosił o zajęcie miejsca i wyłożył mu sprawę, posługując się dobieganymi wyrazami, jak przystało na wyćwiczonego prawnika-weterana. Osoba, która chce pozostać bezimienna, ale o której prawnik ma najlepsze przekonanie, słowem, człowiek zajmujący pewne stanowisko w kraju, chce dać Francisowi pensję wynoszącą pięćset funtów rocznie. Kapitał ma być złożony u tegoż prawnika pod kontrolą dwóch opiekunów, którzy też mają zachować *incognito*. Ta hojność wymagała spełnienia pewnych warunków, ale prawnik nie

przypuszczał, aby były zbyt uciążliwe lub sprzeczne z honorem. I powtarzał jeszcze raz te dwa słowa z patosem, jakby przekonywując samego siebie.

Francis zapytał, jakie to były warunki.

— Warunki — powiedział prawnik — jak już zauważyłem dwukrotnie, nie są ani zbyt uciążliwe, ani sprzeczne z honorem. Ale zarazem nie ukrywam przed panem, że są dość niezwykle. Co prawda, cała ta sprawa nie wchodzi w nasz zakres i nie byłbym się jej podjął, gdyby tu nie chodziło o reputację dżentelmena, który mi ją powierzył, i pozwolę sobie dodać, Mr. Scrymgeour, gdybym nie zainteresował się panem dzięki bardzo pochlebnym i, nie wątpię, dobrze zasłużonym relacjom o panu.

Francis poprosił o szczegóły.

— Nie ma pan pojęcia, jak mnie niepokoją te warunki — powiedział.

— Są tylko dwa — odparł prawnik — a suma, jak pan sobie przypomina, wynosi rocznie pięćset funtów i jest nieobciążona, zapomniałem dodać, całkiem nieobciążona.

I prawnik podniósł brwi uroczyście, smakując te słowa.

— Pierwszy — podjął — jest nader prosty. Musi pan być w Paryżu w niedzielę po południu, piętnastego tego miesiąca. Tam w kasie Komedii Francuskiej znajdzie pan bilet wejścia na swoje imię pozostawiony dla pana. Ma pan siedzieć na miejscu swoim przez całe przedstawienie, i to wszystko.

— Wolałbym, co prawda, być w teatrze w dzień powszedni — odparł Francis. — Ale, jak się już wchodzi na pewną drogę...

— W Paryżu, drogi panie — łagodził prawnik — ja sam miałbym skrupuły, ale w takiej sytuacji w Paryżu nawet nie wahałbym się ani chwili.

I obaj roześmieli się żartobliwie.

— Drugi warunek ma większe znaczenie — ciągnął dalej prawnik — dotyczy on pańskiego małżeństwa. Klient mój, dbając bardzo o szczęście pana, chce koniecznie pokierować wyborem żony pana. Koniecznie, rozumie pan — powtórzył.

— Proszę mówić wyraźnie — odparł Francis — czy mam się ożenić z pierwszą lepszą, panną lub wdową, białą czy Murzynką, którą mi poleci to niewidzialne indywiduum?

— Mogę pana zapewnić, że dobroczyńca pana będzie dbał, aby żona ta odpowiadała panu wiekiem i stanowiskiem — mówił prawnik — co do rasy, przyznaję, ten szkopał nie przyszedł mi do głowy i nie pytałem o to; ale jeżeli pan chce, napiszę list o wyjaśnienie i w najbliższym czasie zakomunikuję je panu.

— Proszę pana mecenas — rzekł Francis — pozostaje tylko sprawdzić, czy wszystko to nie jest najniegodniejszym oszustwem. Okoliczności są niezrozumiałe, powiedziałbym, prawie niewiarygodne. I zanim sobie tego nie wyjaśnię i nie zrozumiem, przyznaję, że z trudnością by mi przyszło przyłożyć rękę do tej umowy. W tym kłopotliwym położeniu odwołuję się do pana. Chcę wiedzieć, co jest na dnie tej sprawy. Jeżeli pan nie wie, nie może odgadnąć albo też nie ma prawa powiedzieć, to biorę mój kapelus i wracam do banku, jak przyszedłem.

— Nie wiem — odparł adwokat — ale sprawa ta dla mnie jest zrozumiała. Ręka ojca pana i niczyja inna jest w tym wszystkim.

— Mój ojciec — zawołał Francis z pogardą — ten zacny człowiek! Znam każdą jego myśl i każdy grosz, który do niego należy.

— Pan źle rozumie moje słowa — rzekł adwokat — nie mam na myśli pana Scrymgeoura seniora, bo on nie jest pana ojcem. Kiedy przybył z żoną do Edynburga, pan miał rok zaledwie i dopiero od trzech miesięcy był pan pod ich opieką. Tajemnica była dobrze zachowana, ale fakt pozostaje faktem. Ojciec pana jest nieznan i sądzę, że od niego pochodzą propozycje, które czynię panu.

Trudno opisać zdumienie Francis Scrymgeour wobec tej niespodzianej informacji. Był zmieszany i wykołejony i dał wyraz tym uczuciom.

— Proszę pana, po tylu nowinach tak zatrwających musi mi pan dać kilka godzin do namysłu. Dziś wieczorem dowie się pan, jakie powziąłem postanowienie.

Prawnika pochwalił tę ostrożność. Francis pod jakimś pretekstem zwolnił się z banku i poszedł na daleką przechadzkę za miasto, rozważając wszechstronnie tę sprawę. Przyjemne poczucie własnego znaczenia czyniło go rozważnym, ale decyzja jego była z góry do przewidzenia. Cała niższa strona jego natury ciągnęła go niepowstrzymanie do pięćset funtów rocznie i do dziwnych warunków, z którymi dochód ten był związany. Odkrył

w swym sercu nieprzewycięzoną odrazę do nazwiska Scrymgeour, które nigdy przedtem nie wydawało mu się brzydkie. Zaczął gardzić ciasnym i nieromantycznym widnokregiem swego przeszłego życia. A kiedy już zdecydował się ostatecznie, zaczął iść z nowym uczuciem swobody i siły i karmił się najmiłszymi nadziejami.

Powiedział prawnikowi, że się zgadza, i otrzymał dwie czwarte zalegającej sumy, gdyż pensja liczyła się od pierwszego stycznia. Z pieniędzmi w kieszeni poszedł do domu. Mieszkanie jego przy ulicy Scotland Street wydało mu się nędzne. Nozdrza jego po raz pierwszy buntowały się przeciw zapachowi rosołu. Zauważył też pewne uchybienia i brak estetyki w manierach swego przybranego ojca, które zdziwiły go i napęłniły niesmakiem. Postanowił; że następnego dnia ujrzy go w drodze do Paryża.

Przybył do Paryża znacznie wcześniej przed oznaczoną datą, zajął numer w skromnym hoteliku, który zamieszkiwali Anglicy i Włosi, i zaczął się doskonalić w języku francuskim. W tym celu brał lekcje u nauczyciela dwa razy tygodniowo, prowadził pogadanki z włóczęgami na Champs Elysées, wieczorem zaś chodził do teatru. Sprawił sobie nowe, modne ubranie, fryzjer z sąsiedniej ulicy codziennie golił go i poprawiał fryzurę. To nadawało mu wygląd cudzoziemca i ścierało z niego pokost dawnej miernoty.

Wreszcie w niedzielę po południu udał się do kasy teatru na ulicy Richelieu. Zaledwie wymienił swe nazwisko, kasjer podał mu bilet w kopercie, na której atrament nie zdążył jeszcze wyschnąć

— Kupiono go w tej chwili — rzekł kasjer.

— Naprawdę — rzekł Francis — czy nie będzie pan łaskaw mi powiedzieć, jak wyglądał nabywca?

— Pańskiego przyjaciela łatwo jest opisać — odparł kasjer — jest stary, silny i piękny, ma siwy włos i bliznę od szabli przez twarz. Pozna go pan niechybnie, rzuca się w oczy.

— Ależ tak — odparł Francis — dzięki panu.

— On nie mógł się jeszcze zbyt oddalić — dodał kasjer — jeżeli pan się pośpieszy, może go pan jeszcze dopędzić.

Francis nie czekał, by mu to powtórzono. Wybiegł z teatru na środek ulicy i obejrzał się na wszystkie strony. Spostrzegł niejednego siwowłosego mężczyznę, ale żaden nie miał blizny na twarzy. Przez pół godziny przeszukiwał sąsiednie ulice, wreszcie, uznając, że dalsze poszukiwania byłyby głupie, szedł dalej bez celu, aby przechadzką uśmierzyć wzburzenie, bo bliskość spotkania z tym, któremu zawdzięczał życie, głęboko go poruszyła.

Zdarzyło się, że obrał drogę przez rue Dronat i potem przez rue des Martyrs; wypadek posłużył mu lepiej niż wszelkie przewidywania. Bo oto na zewnętrznym bulwarze, na ławce, ujrzał dwóch ludzi pogrążonych w rozmowie. Jeden był młody, ładny i ciemnowłosy, w ubraniu cywilnym, ale wyglądający na duchownego; drugi pod każdym względem odpowiadał opisowi danemu przez kasjera. Francis poczuł gwałtowne bicie serca; wiedział, że zaraz usłyszy głos swego ojca. Okrążył siedzącą parę z daleka i zajął po cichu miejsce za nią, ale obaj rozmawiający byli zbyt zajęci rozmową, by go zauważyć. Jak się tego spodziewał Francis, rozmawiano po angielsku.

— Pańskie podejrzenia, Rolles, zaczynają mnie nudzić — rzekł starszy pan — mówię, że czynię wszystko, co ode mnie zależy. Nie można zgarnąć milionów jednym zamachem ręki. Czyż dobrowolnie nie zabrałem ze sobą pana, człowieka dla mnie obcego? Czyż pan nie żyje dostatnio dzięki mojej hojności?

— Z zaliczek pańskich, panie Vandeleur — poprawił tamten.

— Zaliczki, jeżeli interes ważniejszy jest dla pana od dobrej woli — odparł Vandeleur gniewnie. — Nie jestem tu po to, by bawić się w ładne słówka. Interes to interes, pański zaś, pozwól pan sobie przypomnieć, jest zbyt trudny do załatwienia, by można było pozwalać sobie na takie fochy. Proszę mi ufać albo opuścić mnie i szukać sobie kogo innego, ale skończcie pan już raz, na litość boską, ze swymi jeremiadami.

— Zaczynam poznawać świat — odparł tamten — i widzę, że ma pan wszelkie powody, by prowadzić ze mną fałszywą grę, żadnego zaś, by dokonać ze mną podziału uczciwie. Nie jestem tu również po to, by bawić się w piękne słówka; pan chce zagarnąć diament dla siebie, pan wie, że pan chce, nie śmie pan zaprzeczyć. Pan już sfalszował mój podpis i zrewidował moje mieszkanie w mojej nieobecności. Rozumiem przyczynę zwłoki. Pan czai się z zasadzki; pan jest naprawdę łowcą diamentów i prędzej czy później, prawem czy

lewem, zagarnie pan diament w swe ręce. Powiadam panu, że dość tego. Niech pan nie doprowadza mnie do ostateczności, bo obiecuję zrobić panu niespodziankę.

— Pogrożki nie wyjdą panu na dobre — odparł Vandeleur — tu na dwoje babka wróżyła. Brat mój jest tu w Paryżu, policja jest zaalarmowana i jeżeli pan nie przestanie mnie zanudzać swymi jękami, niczym kocur na dachu, przygotuję panu również małą niespodziankę. Ale moja odbędzie się raz jeden, za to na zawsze. Rozumie mnie pan, czy chce pan, abym mu to powtórzył po hebrajsku? Każda rzecz ma swój koniec, a właśnie kończy się moja cierpliwość. Proszę przyjść we wtorek o siódmej, nie wcześniej o godzinę ani o sekundę, nawet chociażby chodziło o życie pańskie. A jeżeli nie chce pan czekać, idź pan chociażby na dno piekła, mile cię tam powitają.

Mówiąc to, dyktator wstał z ławki i poszedł w kierunku Montmartre'u, potrząsając głową i z furią wymachując laską; towarzysz zaś jego pozostał w przygnębieniu na tym samym miejscu.

Francisa ogarnęło najwyższe zdumienie i przerażenie. Urażony był w najlepszych swych uczuciach. Czulość pełna nadziei, z jaką zajął miejsce za ławką, zamieniła się w rozpacz i odrazę. Stary Mr. Scrymgeour, rozmyślał, był znacznie miłszym i godniejszym zaufania rodzicem od tego niebezpiecznego i gwałtownego intryganta. Pomimo tych uczuć nie stracił przytomności umysłu i nie zwlekając ani chwili, udał się za dyktatorem.

Złość dyktatora uspokoiła się nagle; pogrążył się tak całkowicie w gniewnych swych myślach, że nie obejrzał się za siebie, aż dotarł do swych drzwi.

Dom jego położony był wysoko na rue Lepic. Można było stąd ogarnąć wzrokiem cały Paryż i oddychać czystym powietrzem wzgórz. Był to dom dwupiętrowy, z zielonymi żaluzjami i okiennicami; wszystkie okna wychodzące na ulicę były hermetycznie zamknięte. Nad wysokim murem ogrodu wznosiły się wierzchołki drzew, mur zaś był ochroniony przez kobylice⁴. Dyktator zatrzymał się na chwilę, szukając klucza w kieszeni, po czym otworzył furtkę i znikł za ogrodzeniem.

Francis obejrzał się. Miejsce było odludne, dom stał odosobniony w ogrodzie. Zdało się, że tu skończy poszukiwania. Ale rzuciwszy okiem raz jeszcze, ujrzał tuż obok mały domek, którego facjatka wychodziła na ogród, w facjatce zaś tej było okno. Poszedł od frontu i ujrzał kartę ogłaszającą wiadomość o nieumeblowanych mieszkaniach do wynajęcia. Francis nie wahał się ani chwili. Wynajmując pokój, zapłacił komorne z góry i wrócił do swego hotelu po bagaż.

Czy stary człowiek z blizną od szabli jest jego ojcem czy nie, czy jest na tropie czy nie — dość, że na pewno ociera się o jakąś podniecającą tajemnicę. Obiecał sobie, że nie spocznie, aż ją wykryje.

Z okna swego nowego mieszkania Francis Scrymgeour mógł ogarnąć wzrokiem cały ogród domu z zielonymi żaluzjami. Tuż pod nim piękny kasztan o rozłożystych konarach osłaniał parę prostych stołów, na których można było obiadować podczas upału. Ze wszystkich stron ziemię okrywała gęsta roślinność, ale między stolami a domem ujrzał wysypaną żwirem ścieżkę, która prowadziła od werandy do furtki ogrodowej. Przypatrząc się temu miejscu przez deseczki żaluzji, których nie odważył się otwierać, by nie ściągnąć na siebie uwagi, Francis poznawał obyczaj mieszkańców domu, ale z nielicznych obserwacji jego wynikało, że żyją w zamknięciu i zamilowaniu samotności. Ogród wyglądał jak klasztor, dom miał pozory więzienia. Żaluzje z zewnątrz były spuszczone, drzwi na werandę zamknięte. Ogród, pławiący się w świetle zachodu, był w zupełności opustoszały. Tylko nikła smuga dymu z jedyne go komina świadczyła o obecności żywych ludzi.

Aby nie próżnować i nadać jakąś barwę swej nowej drodze życiowej, Francis kupił geometrię Euklidesa po francusku i zaczął ją tłumaczyć, pisał na swoim tłumoczku, siedząc na podłodze oparty o ścianę, ponieważ nie miał ani stołu, ani krzesła. Od czasu do czasu wstawał, by spojrzeć na otoczenie domu z zielonymi żaluzjami, ale żaluzje były uparcie spuszczone, a ogród pusty.

Dopiero późno wieczorem zdarzyło się coś, co wynagrodziło jego nieustanną czujność. Między dziewiątą a dziesiątą silny dzwonek wyrwał go z drzemki; skoczył więc do okna;

⁴kobylica — rodzaj prowizorycznych zapór wykonanych z pni ściętych drzew, stosowanych w XVI i XVII wieku; kłody z częściami gałęzi umieszczano w przejściach lub innych miejscach dla powstrzymania szarżującej jazdy konnej. [przypis edytorski]

usłyszał zgrzyt zamków i odsuwanych rygli, po czym ujrzał pana Vandeleura niosącego latarnię i ubranego w luźny szlafrok z czarnego aksamitu i taką czapkę. Zszedł on z werandy i powoli zmierzał do furtki. Powtórnie zazgrzytały zamki i rygle; w chwilę potem Francis ujrzał w migotliwym świetle latarki, jak dyktator prowadził do domu jakiegoś osobnika, wyglądającego na najgorszego lotra.

W pół godziny później gość został odprowadzony do furtki i pan Vandeleur, postawiwszy światło na jednym ze stołów, dopalał cygaro wśród gałęzi kasztana, nad czymś medytując. Francis, obserwując go przez otwór wśród liści, widział, jak zrzucił popiół z cygara lub wdychał silniej powietrze. Zauważył chmurę na czole starego człowieka i poruszenia jego ust, świadczące o głębokim i ciężkim zamysleniu. Dopalał już prawie cygara, gdy nagle głos młodej dziewczyny z wnętrza domu oznajmił godzinę.

— W tej chwili — odparł John Vandeleur.

Z tymi słowami odrzucił niedopałek i biorąc latarnię, powędrował ku werandzie. Gdy drzwi się za nim zamknęły, zupełna ciemność zaległa ogród, Francis wyteżał na próżno wzrok, nie mogąc uchwycić najmniejszego światełka za żaluzjami. Wywnioskował stąd, że pokoje sypialne musiały się znajdować po drugiej stronie domu.

Wczesnym rankiem (bo obudził się wcześniej, spędziwszy niewygodnie noc na podłodze) stwierdził, że rzecz ma się inaczej. Żaluzje, jedna po drugiej, podniosły się, widać pod naciśnięciem sprężyny z wewnątrz, i odsłoniły drugie stalowe żaluzje, takie, jakie widzimy na wystawach sklepowych. Te zostały zwinięte w ten sam sposób i pokoje wietrzyły się przez godzinę. Po upływie godziny pan Vandeleur własnoręcznie zamknął obie pary żaluzji.

Kiedy Francis trwał w zdumieniu wobec tych ostrożności, drzwi się otwarły i młoda dziewczyna wyszła do ogrodu. Upłynęło zaledwie parę minut, zanim znów ukryła się w domu, ale Francisowi wystarczyła ta chwila, aby się przekonać o jej nadzwyczajnych powabach. Wzbudziło to nie tylko jego ciekawość, lecz i wprawiło go w stan wielkiego podniecenia. Od tej chwili przestały go trapić niepokojące zachowanie i więcej niż dwuznaczny tryb życia jego ojca; od tej chwili z żarliwością przyłgnął do swojej nowej rodziny. I czy młoda pani miała mu być siostrą czy żoną — w każdym razie była ona aniołem w przebraniu. Ogarnęła go nagle zgroza na myśl, że mógł się omylić i że śledząc pana Vandeleur poszedł może nie za osobą właściwą.

Portier, do którego się zwrócił, nie udzielił mu prawie żadnych wyjaśnień. A tymczasem w życiu tych ludzi nie wszystko było w porządku, na dnie tkwiła jakaś tajemnica. Lokator-sąsiad był Anglikiem niezmiernie bogatym i bardzo ekscentrycznym w gustach i zwyczajach. Posiadał wielkie zbiory w swym domu i dla ochrony zaopatrzył mieszkanie w żaluzje stalowe, w system zamków i kobylice wzdłuż muru ogrodowego. Żył w samotności, widując tylko dziwnych ludzi, z którymi widocznie łączyły go jakieś stosunki. W domu nie było nikogo, oprócz pani i starej służącej.

— Czy pani jest jego córką? — zapytał Francis.

— Ależ tak — odparł portier — pani jest córką pana domu i to jest dziwne, że tak umie pracować. Pomimo wszystkich jego bogactw ona to chodzi na rynek i co dzień można ją zobaczyć, jak przechodzi z koszykiem.

— A zbiory? — zagadnął nowy lokator.

— Proszę pana — odrzekł człowiek — mają one olbrzymią wartość. Więcej nie umiem panu powiedzieć. Od przybycia pana de Vandeleur nikt z tej dzielnicy nie przestąpił jego progu.

— Dajmy na to, że nikt — nie dawał za wygraną Francis — ale może ma pan jakieś pojęcie, co zawiera ta słynna kolekcja? Obrazy, tkaniny, posągi, klejnoty.

— Daję słowo — wzruszył portier ramionami — gdyby to były nawet marchewki, to i wtedy nie umiałbym nic panu powiedzieć. Skąd mam wiedzieć? Dom jest strzeżony jak twierdza, sam pan widział.

A kiedy Francis wracał rozczarowany do swego pokoju, portier zawołał go z powrotem.

— Przypomniałem sobie, proszę pana — powiedział — pan de Vandeleur był w różnych częściach świata i raz słyszałem od ich starej posługaczki, że pan przywiózł ze sobą dużo diamentów. Jeżeli to prawda, są tam za tymi żaluzjami śliczności do obejrzenia.

W niedzielę Francis był już zawczasu na swym miejscu w teatrze. Zakupione dla niego krzesło stało na trzecim miejscu po lewej stronie, na wprost jednej z dolnych

łóż. Ponieważ miejsce było specjalnie wybrane, niewątpliwie coś stąd wynikało. Instynkt podpowiadał mu, że ta łoża naprzeciw odgrywa jakąś rolę w dramacie, w który został wmieszany. W rzeczy samej, z łoży tej można było go obserwować od początku do końca przedstawienia, jeżeli komuś na tym zależało; widzowie zaś mogli się schować w głębi łoży, nie pozwalając przypatrywać się sobie nawzajem. Obiecywał sobie nie spuścić jej z oka na chwilę i, czy to rozglądając się po teatrze, czy też patrząc na scenę, wciąż zezował ku pustej łoży.

Przed końcem drugiego aktu otworzyły się drzwi; dwie osoby weszły i usiadły w cieniu łoży. Francis z trudnością opanował wzruszenie. Był to pan Vandeleur i jego córka. Krew zatętniła mu gwałtownie w żyłach; odwrócił głowę. Nie śmiał patrzeć, obawiając się wzbudzić podejrzenie. Program, który czytał wciąż od początku do końca, białą i czerwieniał w jego oczach. A kiedy spojrzął na scenę, wydała mu się czymś dalekim, głosy zaś i gesty aktorów stały się impertynenckie i bezsensowne.

Od czasu do czasu ryzykował i spoglądał ku łoży. Wreszcie oczy jego spotkały oczy młodej dziewczyny. Doznał wstrząsu, a w oczach jego zagrały wszystkie kolory tęczy. Co by dał za to, by podłuchać rozmowę Vandeleurów! Co by dał za śmiałość, by wyjąć lornetkę i dobrze przyjrzeć się jej powierzchowności i wyrazowi twarzy? Tam, wiedział o tym, zapadała w tej chwili decyzja o jego losie, a on nie mógł nawet zabrać głosu, lecz skazany był na siedzenie tu i na cierpienie w bezsilnej udręce.

Wreszcie akt się skończył. Kurtyna zapadła, a publiczność powstała z miejsc, by przejść się podczas przerwy. Francis uznał za naturalne i konieczne pójść za przykładem innych, a powstawszy, przejść tuż koło owej łoży. Przywoławszy całą swą odwagę, ze spuszczonego wzrokiem Francis minął to miejsce. Szedł bardzo powoli, nie puszczał go naprzód starszy pan, który posuwał się z niewiarygodną ostrożnością, burcząc coś przy tym pod nosem. Cóż miał uczynić? Czy, idąc, miał zwrócić się do Vandeleurów, nazywając ich po imieniu? Czy miał wyjąć kwiat z butonierki i rzucić do łoży? Czy miał podnieść głowę i rzucić długie, czule wejrzenie na tę, która była jego siostrą albo narzeczoną? Wśród tej walki z samym sobą ujrzał wizję swego dawnego, jednostajnego istnienia w banku i ogarnął go żal za przeszłością.

Tymczasem stał na wprost i chociaż wciąż był niezdecydowany, czy ma coś uczynić, czy nic, odwrócił głowę i podniósł oczy. Ale zaledwie to uczynił, wydał okrzyk rozczarowania i stanął jak wryty. Łoża była pusta. Podczas gdy on posuwał się powoli, pan Vandeleur i jego córka spokojnie wysliznęły się z łoży.

Grzeczny widz, idący za nim, przypomniał mu, że zagraża drogę. Ruszył więc mechanicznie naprzód i pozwolił, by tłum porwał go za sobą i wyniósł z teatru. Gdy był już na ulicy, a tłok się zmniejszył, stanął i oprzytomniał powoli. Był zdziwiony, czując gwałtowny ból głowy i nie przypominając sobie ani słowa z dwóch aktów, na których był obecny. Kiedy podniecenie jego uciszyło się nieco, poczuł nieprzewycięzoną senność, zawołał więc dorożkę i pojechał do swego mieszkania, nadzwyczajnie wyczerpany i dręczony głuchą niechęcią do życia.

Następnego rana czatował na pannę Vandeleur w drodze na targ i o ósmej ujrzał ją na ulicy. Była ubrana skromnie, biednie prawie, ale w sposobie trzymania głowy, w jej ruchach była jakaś szlachetna giętkość, tak że wyglądała dystyngowanie w najgorszym ubraniu. Nawet koszyk niosła tak zgrabnie, że stawał się jej ozdobą. Gdy Francis wyszedł zza drzwi, wydało mu się, że słońce szło za nią, zaś cienie uciekały przed jej stopami, a w klatce od ulicy śpiewał ptak.

Przepuścił ją koło swych drzwi, potem pośpieszył za nią i zawołał po imieniu:

— Panno Vandeleur!

Odwróciła się, a zobaczywszy go, zbladła śmiertelnie.

— Proszę mi wybaczyć — ciągnął dalej — Bóg widzi, że nie mam zamiaru przestraszyć pani, a i cóż może być straszego we mnie, który tak dobrze pani życzy? Proszę mi wierzyć, że działam raczej pod naciskiem konieczności niż z własnej woli. Łączy nas przecież coś wspólnego, a ja jestem jakby pogrążony w ciemności. Chciałem uczynić wiele, a ręce moje są związane. Nie wiem nawet, jakie mam żywić uczucia, ani też, kto mi jest przyjacielem, a kto wrogiem.

Przemówiła z wysiłkiem:

— Nie wiem, kim pan jest.

— Ależ tak! Pani wie, panno Vandeleur — odparł Francis — wie pani lepiej ode mnie. To właśnie chcę przede wszystkim wyjaśnić. Proszę mi powiedzieć, co pani wie — prosił — proszę mi powiedzieć, kim jestem ja, kim jest pani i w jaki sposób związane są nasze losy. Proszę pomóc mi choć trochę w życiu, panno Vandeleur: tylko słowo, tylko parę słów, aby mną pokierować, tylko imię mego ojca, jeżeli pani raczy, a będę wdzięczny i zadowolony.

— Nie będę się starała zwodzić pana — odparła — wiem, kim pan jest, ale nie wolno mi tego powiedzieć.

— Proszę mi więc powiedzieć przynajmniej, że wybacza mi pani moje natarczywe domysły, a będę czekał z całą cierpliwością. — Jeżeli nie mogę wiedzieć, obejść się bez tego. Jest to okrutne, ale trudno. Proszę tylko mych zmartwień nie powiększać myślą, że uczyniłem sobie wroga z pani.

— Postępowanie pana było całkiem zrozumiałe — odparła — i nie mam panu nic do wybaczenia. Żegnam pana.

— Czy to ma być pożegnanie na zawsze? — zapytał.

— Gdybym mogła sama to wiedzieć — odparła — żegnam pana tymczasem, jeżeli pan woli.

I z tymi słowami oddaliła się.

Francis wrócił do swego mieszkania silnie wzburzony. Tłumaczenie Euklidesa bardzo mało posunęło się naprzód tego rana i Francis częściej przebywał u okna niż u swego zaimprovizowanego biurka. Ale zobaczył tylko powrót panny Vandeleur, spotkanie jej z ojcem, który palił na werandzie cygaro, poza tym przed obiadem nie zaszło nic godnego uwagi w okolicy domu z zielonymi żaluzjami. Młodzieniec szybko zaspokoił głód w sąsiedniej restauracji i wrócił z niezaspokojoną ciekawością do domu na rue Lepic. Groom oprowadzał konia tam i z powrotem przed murem ogrodu. Portier z mieszkania Francisza palił fajkę przed drzwiami i przyglądał się koniom i liberii.

— Niech pan patrzy — zawołał — co za piękne konie, co za szykowna liberia! Należy to do brata pana de Vandeleur, który tam właśnie przybył z wizytą. Jest to człowiek wybitny, generał w waszym kraju. Pan zapewne zna go ze słyszenia.

— Przyznaję — odparł Francis — że nigdy przedtem nie słyszałem o generale Vandeleur. Mamy wielu oficerów tej rangi, ja sam zaś należę do cywilów.

— To on — objaśniał portier — stracił wielki diament indyjski. O tym to pan pewnie nieraz czytał w gazetach.

Uwolnwszy się od portiera, Francis pobiegł na górę i pospieszył do okna. Tuż pod otworem wśród liści kasztana siedzieli obaj panowie, paląc cygara i rozmawiając. W generale, człowieku zdrowym, o postawie wojskowej, można było znaleźć pewne podobieństwo rodzinne do brata; rysy miał nieco podobne, tę samą swobodną i władną postawę. Ale był starszy, mniejszy i wygląd miał pospolitszy. Podobieństwo jego było podobieństwem karykatury i obok dyktatora wyglądał nędznie i staro.

Oparci o stół, bardzo byli pochłonięci rozmową. Francis zdołał uchwycić z niej zaledwie parę wyrazów. Ale i z tego mógł wywnioskować, że tematem rozmowy był on i jego losy. Kilkakrotnie usłyszał nazwisko Scrymgeour, które łatwo było odróżnić, ale częściej zdawało mu się, że słyszy imię Francis.

W końcu generał, silnie rozgniewany, wydał kilka gwałtownych okrzyków.

— Francis Vandeleur — zawołał, akcentując ostatni wyraz. — Mówię ci, Francis Vandeleur.

Dyktator skinął głową na poły twierdząco, na poły wzgardliwie, ale odpowiedzi jego Francis nie dosłyszał.

Czy to on był tym Francisem Vandeleur? — dociekał. Czy spierali się o imię, pod którym miał wejść w związek małżeński? A może też wszystko to było tylko snem i uludą jego zmęczonej wyobraźni?

Po pauzie, wypełnionej zbyt cichą rozmową, między parą siedzącą pod kasztanem znów wybuchła sprzeczka i generał podniósł głos tak, że Francis mógł go słyszeć.

— Zona moja? — krzyczał — zona moja otrzymała odszkodowanie. Nie chcę słyszeć jej imienia. Źle mi się robi na samo jej wspomnienie.

Tu zaklął głośno i uderzył pięścią w stół.

Z gestów dyktatora widać było, że uspakajał go po ojcowsku. Wkrótce potem odprowadził go do furtki ogrodu. Obaj dość serdecznie podali sobie ręce. Ale zaledwie furтка zamknęła się za gościem, Jack Vandeleur roześmiał się, a śmiech ten zabrzmiał wrogo, prawie diabelsko w uszach Francisa Scrymgeour.

Tak więc przeszedł jeszcze jeden dzień, a on niczego się nie dowiedział. Ale młody człowiek przypomniał sobie, że jutro będzie wtorek, i obiecywał sobie ciekawe odkrycia. Złe czy dobre — na pewno rozjaśni mu wiele, a może szczęście uśmiechnie się do niego i uda mu się dotrzeć do jądra tajemnicy otaczającej jego i jego rodzinę.

Za zbliżeniem się godziny obiadowej w ogrodzie domu o zielonych żaluzjach zaczęły się przygotowania. Stół, którego część Francis widział przez liście kasztanu, miał służyć za kredens; tam miano odstawiać półmiski i salaty; drugi, prawie całkowicie schowany za gałęzmi, był nakryty do obiadu i Francis widział lśniący biały obrus i połyskujące srebra.

Mr. Rolles przybył punktualnie co do minuty. Wyglądał jak człowiek mający się na bacności, mówił cicho i mało. Dyktator, przeciwnie, był w najlepszym humorze. Śmiech jego, młody i przyjemny, często dochodził z ogrodu. Z modulacji i zmian jego głosu widać było, że opowiadał rzeczy zabawne i naśladował wymowę różnych narodów. Wkrótce, zanim on i młody pastor dopili swój wermut, rozwiała się wszelka nieufność i rozmawiali jak para dobrych kolegów.

W końcu ukazała się panna Vandeleur, niosąc wazę z zupą. Mr. Rolles podbiegł, ofiarując swą pomoc, od której uchyliła się ze śmiechem. Wszyscy troje zaczęli żartować, że panna Vandeleur sama obsługuje.

— Swobodniej człowiek przy tym się czuje — usłyszał słowa panny Vandeleur.

W chwilę potem siedzieli na swych miejscach i Francis nic prawie nie widział i nie słyszał. Ale przy obiedzie było wesoło. Pod kasztanem toczyła się gawęda, słychać było brzęk noży i widelców. Francis, który miał tylko bułkę do żucia, zazdrościł tym, co siedzieli przy wytwornym obiedzie. Ukazywał się półmisek za półmiskiem, potem wspaniałe deser i butelka starego wina, które pieczołowicie odkorkowywał sam dyktator. Zapadał już mrok, na stole więc postawiono lampę, a na kredensie dwie świece, gdyż noc była pogodna, gwiazdzista i cicha. Światło padało na werandę i ogród, iluminując go, a liście połyskiwały w ciemności.

Może po raz dziesiąty panna Vandeleur weszła do domu i wróciła z serwisem do kawy, który postawiła na kredensie. Wtedy ojciec jej podniósł się z miejsca.

Francis usłyszał, jak mówił:

— Kawa to moja specjalność.

I po chwili ujrzał swego domniemanego ojca, stojącego przy kredensie w świetle świec.

Mówiąc ciągle przez ramię, pan Vandeleur wlał do dwóch filiżanek brunatny napój i szybkim ruchem kuglarza wylał zawartość małej fiaszeczki do mniejszej filiżanki. Ruch jego był tak szybki, że nawet Francis, który patrzył mu prosto w twarz, zaledwie zdążył to zauważyć. Tymczasem pan Vandeleur, śmiejąc się wciąż, wrócił do stołu z dwiema filiżankami.

— Zanim dopijemy — powiedział — nadejdzie na pewno nasz zapowiedziany gość.

Trudno opisać zmieszanie i rozpacz Francisa Scrymgeour. Widział fałszywą grę, rozwijającą się przed jego oczami, czuł, że powinien zainterweniować, ale nie wiedział jak. Mógł to być tylko żart, a w takim razie, jak wyglądałby niepowołany świadek rzucający ostrzeżenie? Jeżeli zaś nie były to żarty, a zbrodniarzem był jego właściwy ojciec, to jakże cierpiałby nad tym, że sprowadził klęskę na tego, któremu zawdzięczał życie! Po raz pierwszy uświadomił sobie, że właściwie jest tu w roli szpiega. Oczekiwać biernie i bezczynnie wśród takich okoliczności i z taką walką sprzecznych uczuć w piersi było najcięższą torturą. Uczepił się deseczek żaluzji, serce jego biło szybko i nierówno, ciało okryło się obfitym potem.

Przeszło chwil kilka.

Zauważył, że rozmowa była mniej ożywiona, zapadały chwile milczenia. Ale wciąż nie zachodziło nic niepokojącego ani godnego uwagi.

Nagle rozległ się brzęk szkła stłuczonego, a za nim słaby, głuchy stuk, jakby ktoś upadł głową na stół. W tej chwili przesywający krzyk rozległ się w ogrodzie.

— Coś ty zrobił — krzyczała panna Vandeleur — on umarł!

Dyktator odpowiedział szeptem tak głośnym i syczącym, że dosłyszał go nawet Francis przy oknie.

— Milcz — rzekł pan Vandeleur — człowiek ten jest równie zdrow jak ja. Weź go za nogi, a ja go wezmę za ramiona.

Francis słyszał, jak panna Vandeleur zapłakała gwałtownie.

— Słyszysz, co mówię? — podjął dyktator w tym samym tonie. — Czy też chcesz pogniwać się ze mną? Pozostawiam to pani do wyboru, panno Vandeleur.

Zapadła chwila milczenia, po czym dyktator odezwał się znowu.

— Weź tego człowieka za nogi: muszę go wnieść do domu. Gdybym był młodszy, pomógłbym sobie sam przeciw światu całemu. Ale ciążą na mnie lata i niebezpieczeństwa, ręce moje osłabły i muszę się zwrócić do ciebie o pomoc.

— To zbrodnia — odparła dziewczyna.

— Jestem twoim ojcem — powiedział z naciskiem pan Vandeleur.

Wezwanie to podziało. Na żwirze rozległo się szamotanie, krzesło zostało przewrócone i Francis ujrzał, jak ojciec i córka wlekli się po ścieżce i znikli za drzwiami, niosąc martwe ciało pana Rollesa, które podtrzymywali pod kolanami i pod ramionami. Młody pastor był blady, zwiślał bezwładnie, a głowa jego opadała z boku na bok za każdym krokiem.

Czy był żywy czy martwy? Pomimo oświadczenia dyktatora Francis był pewny raczej tego ostatniego. Popelniono wielką zbrodnię. Katastrofa spadła na mieszkańców domu o zielonych żaluzjach. Ku swemu zdumieniu Francis poczuł, że przerażenie z powodu tej śmierci rozplynęło się w smutku i trosce o dziewczynę i starca, który, jak sądził, był w najwyższym niebezpieczeństwie. Serce jego wezbrało uczuciem poświęcenia. On także chce pomóc swemu ojcu przeciw temu człowiekowi i całej ludzkości. Otworzył żaluzje i z zamkniętymi oczami rzucił się w gąszcz kasztanu.

Gałąź po gałęzi wyslizgiwała mu się z garści albo łamała pod jego ciężarem. Wtem poczuł mocną gałąź pod pachą i zawisł na niej przez chwilę w powietrzu. Potem puścił gałąź i spadł ciężko na stół. Okrzyk trwogi z głębi domu ostrzegł go, że wtargnięcie jego zauważono. Zataczając się, stanął na nogach, kilku skokami przesadził przestrzeń dzielącą go od werandy i stanął przed drzwiami.

W małym pokoju, wyłożonym matami i zastawionym wzdłuż ścian oszklonymi szafami, pełnymi rzadkich i kosztownych okazów muzealnych, pan Vandeleur stał pochylony nad ciałem pana Rollesa. Podniósł się, gdy Francis wszedł, i ręce ojca i córki na chwilę jedną zetknęły się ze sobą. Była to jedna znikoma chwila, jedno mrugnięcie oka, a starczyło jej na ten drobny ruch. Młodzieniec nie miał czasu dokładnie sobie tego uświadomić, upewnić się co do swych wrażeń, ale wydało mu się, że dyktator wziął coś z piersi pastora, spojrzął na to przelotnie, trzymając w swej dłoni, i nagle szybko oddał córce.

Wszystko to już się dokonało, gdy Francis jedną nogą przestępował dopiero przez próg, a drugą trzymał w powietrzu. W chwilę później klęczał już przed panem Vandeleur.

— Ojcze — zawołał — pozwól sobie dopomóc. Uczynię, co każesz, nie pytając o nic. Proszę mnie traktować jak syna, a znajdziesz we mnie synowskie poświęcenie.

Pierwszą odpowiedzią dyktatora był straszny wybuch klątw.

— Ojciec i syn? — krzyczał. — Syn i ojciec? Co to za diabelska komediancka scena? Jak pan wszedł do mego ogrodu? Czego pan chce? I kim pan jest, do licha!

Francis, zgębiony i zawstydzony, podniósł się z klęczek i stał w milczeniu.

Nagły błysk oświecił pamięć pana Vandeleur i wtedy zaśmiał się głośno.

— Widzę — zawołał. — To Scrymgeour. Bardzo dobrze, panie Scrymgeour. W paru słowach skreślę stanowisko pana. Pan wchodzi do mej prywatnej rezydencji gwałtem lub może podstępem, ale zaiste bez najmniejszej zachęty z mej strony. I w chwili gdy mam kłopot z gościem, który zemdlął przy stole, rzuca się pan na mnie z wyznaniem uczuć synowskich. Pan nie jest moim synem. Jest pan nieprawym synem mego brata i pewnej rybaczki, jeżeli chce pan wiedzieć. Patrzę na pana z obojętnością graniczącą z odrazą. A patrząc na postępowanie pana w tej chwili, sądzę, że strona duchowa pana odpowiada jego powierzchowności. Przykre to zdanie polecam panu do rozpamiętywania w wolnych chwilach. Tymczasem proszę pana uwolnić nas od swej obecności. Gdybym nie był zajęty — dodał dyktator klnąc przeraźliwie — sprawiłbym panu tęgie lanie na odchodnym.

Francis słuchał, głęboko upokorzony. Uciekłby, gdyby to było możliwe ale ponieważ nie widział sposobu, w jaki mógłby opuścić rezydencję, wtargnąwszy do niej tak nieszczęśliwie, stał na miejscu jak głupi.

Panna Vandeleur przerwała milczenie.

— Ojciec — rzekła — mówisz w gniewie. Pan Scrymgeour jest w błędzie, ale zamiary jego były jak najlepsze.

— Dziękuję za te słowa — odparł dyktator — przypominasz mi o innych rzeczach, które uważam za punkt honoru zakomunikować panu Scrymgeour. Brat mój — ciągnął, zwracając się do młodzieńca — był na tyle głupi, że wyznaczył panu pensję. Był na tyle głupi i zarozumiały, że proponował małżeństwo między panem a tą oto młodą panną. Przed dwoma dniami pokazano jej pana i z przyjemnością mogę panu zakomunikować, że odrzuciła z niesmakiem myśl tego związku. Pozwolę sobie dodać, że mam znaczny wpływ na pańskiego ojca i nie będzie to moja wina, jeżeli przed upływem tygodnia nie odbierze panu pensji i nie odeśle z powrotem do gryzmolenia.

Ton głosu starca bardziej jeszcze ranił niż jego słowa. Francis czuł, że się wystawia na pogardę najokrutniejszą, nieznośną, druzgocącą. Doznał zawrotu głowy i zakrył twarz dłońmi. Z ust jego wydarło się suche łkanie. Ale panna Vandeleur raz jeszcze wmiszała się do rozmowy.

— Panie Scrymgeour — rzekła równym, jasnym głosem — nie powinny pana martwić twarde słowa mego ojca. Nie czuję do pana odrazy, przeciwnie, prosiłam, by mi wolno było lepiej poznać pana. To zaś, co zaszło dziś wieczorem, napełniło mnie, niech mi pan wierzy, szacunkiem i współczuciem dla pana.

Właśnie w tej chwili pan Rolles poruszył konwulsyjnie ręką i to przekonało Francisa, że był tylko uspijony narkotykiem, którego działanie zaczynało ustawać. Pan Vandeleur pochylił się nad nim i przypatrzył się jego twarzy.

— Żwawo, żwawo — zawołał, podnosząc głowę — niechże się już skończy ta komedia. Ponieważ jest pani tak zachwycona jego zachowaniem się, panno Vandeleur, proszę wziąć świecę i wyprowadzić stąd precz tego bękarta.

Młoda panna usłuchała z pośpiechem.

— Dziękuję pani — rzekł Francis, gdy znaleźli się sami w ogrodzie — dziękuję z całej duszy. Był to najcięższy wieczór mego życia, ale związane z nim będzie miłe wspomnienie.

— Mówiłam tak, jak czułam — odparła — i sprawiedliwie w stosunku do pana. Bardzo mi przykro, że ojciec obszedł się z panem tak niegrzecznie.

Doszli do furtki ogrodowej i panna Vandeleur, postawiwszy świecę na ziemi, zaczęła odsuwać rygle.

— Jeszcze słowo — rzekł Francis — czy to ostatni raz? Czy nie zobaczę pani więcej?

— Niestety — westchnęła — słyszał pan, co mówi mój ojciec. Muszę słuchać, co mam czynić?

— Proszę mi powiedzieć przynajmniej, że nie dzieje się to za zgodą pani — nalegał Francis — proszę powiedzieć, że pani nie chce, aby to nasze widzenie było ostatnie.

— Ależ tak — potwierdziła — nie chcę, bynajmniej. Pan mi się wydaje prawym i dzielnym człowiekiem.

— W takim razie — rzekł Francis — proszę mi dać coś na pamiętkę.

Zatrzymała rękę na kluczu, bo różne rygle i sztaby były odsunięte i pozostawał tylko zamek.

— Jeżeli się zgodzę — rzekła — czy obieca mi pan ściśle wykonać to, co panu powiem?

— Czyż może pani pytać? — żywo zaprotestował Francis. — Na rozkaz pani uczynię wszystko.

Obróciła klucz w zamku i otworzyła drzwi.

— Niech tak będzie — rzekła — pan nie wie, o co pan prosi, ale niechże tak będzie. Cokolwiek pan usłyszysz — mówiła dalej — cokolwiek się stanie, proszę nie wracać do tego domu. Proszę biec, proszę się śpieszyć, aż pan dobiegnie do ludnych i oświetlonych ulic śródmieścia. A i tam niech pan ma się na baczności. Grozi panu większe niebezpieczeństwo, niż pan przypuszcza. Proszę mi obiecać, że nie spojrzysz pan na pamiętkę ode mnie do czasu, aż będzie pan w bezpiecznym miejscu.

— Obiecuję — zapewnił Francis.

Włożyła w jego dłoń coś luźnie owiniętego w chusteczkę do nosa i w tejże chwili z siłą, o którą by ją nigdy nikt nie posądził, wypchnęła go na ulicę.

— Teraz proszę bieć — krzyknęła.

Usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi i zgrzyt rygli.

— Mój Boże — rzekł — jeżeli obiecałem...

I popędził uliczką prowadzącą ku Rue Ravignon.

Nie ubiegł jeszcze pięćdziesięciu kroków od domu z zielonymi żaluzjami, gdy okrzyk iście szatański zabrzmiał w ciszy nocnej. Zatrzymał się machinalnie. Jakiś przechodzień stanął również. W oknach sąsiednich domów ukazali się ludzie. Pożar nie mógłby wywołać większego zamieszania w tej pustej dzielnicy. A tymczasem był to tylko człowiek krzyczący z wściekłości i rozpacz, jak lwica, której zabrano małe. I Francis usłyszał ze zdumieniem i trwogą własne swe imię, rzucone w powietrze wśród przekleństw angielskich.

Pierwszym jego odruchem było powrócić do domu, drugim, gdy przypomniał sobie słowa panny Vandeleur — przyśpieszyć ucieczkę. Zrywał się właśnie do biegu, gdy dyktator, bez kapelusza, z rozwianym siwym włosom, z głośnym wrzaskiem mignął koło niego jak pocisk wyrzucony z działa i pędem pobiegł w dół.

„No, miałem prawie nóż na gardle — pomyślał Francis — nie wiem, czego chce ode mnie i dlaczego się tak emocjonuje, w każdym razie nie jest to pożądane towarzystwo w tej chwili i najlepiej uczynię, idąc za radą panny Vandeleur”.

Mówiąc tak do siebie, zawrócił i pobiegł w dół ulicą Lepic, podczas gdy jego prześladowca gonił go z przeciwnej strony. Plan był źle obmyślony; musiał oczywiście wstąpić do najbliższej kawiarni i przeczekać, aż ustanie pościg. Ale Francis nie tylko nie miał doświadczenia i zdolności do prowadzenia drobnych wojen życia prywatnego, lecz nie poczuwał się do żadnej winy; zdawało mu się, że najwyżej może mu grozić nieprzyjemne spotkanie. Dziś wieczór odbył już pierwszą praktykę niemiłych rozmów; nie przypuszczał też jakiegoś niedomówienia ze strony panny Vandeleur. Cierpiał na ciele i duchu — ciało było jak zbite, dusza przesztyta boleśnią strzałami. Musiał przyznać, że pan Vandeleur miał język zabójczy.

Myśląc o ciosach, które nań spadły, przypomniał sobie też, że nie tylko wyszedł bez kapelusza, ale i że ubranie jego ucierpiało bardzo przy złażeniu po kasztanie. W pierwszym lepszym sklepie kupił sobie tani kapelusz filcowy i pobieźnie uporządkował na sobie ubranie. Pamiętkę panny Vandeleur zawiniętą w chustkę włożył do kieszeni od spodni.

Zaledwie odszedł kilka kroków od sklepu, gdy poczuł nagle wstrząśnienie; czyjaś dłoń ścisnęła go za gardło, do twarzy jego zbliżyła się czyjaś wściekła twarz, a otwarte usta zaczęły wrzeszczeć mu do ucha przekleństwa. Dyktator, nie trafiwszy na ślad swej ofiary, obrał inną drogę. Francis był silnym chłopakiem, ale nie dorównywał swemu przeciwnikowi ani siłą, ani zręcznością. Po bezskutecznej walce poddał się napastnikowi z rezygnacją.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał.

— Pomówimy o tym w domu — odparł dyktator, groźnie spoglądając.

I powłókł młodzieńca w górę ku domowi z zielonymi żaluzjami.

Ale Francis, chociaż już nie walczył, czekał tylko sposobności, by się wyrwać na wolność. Szarpnął się nagle, zostawiając kołnierz swej marynarki w rękach pana Vandeleur i jeszcze raz popędził co sił ku bulwarom. I tu odwróciła się karta. Jeżeli dyktator był silniejszy, Francis, będący w pełni swej młodości, biegał prędzej i uciekł niebawem, przedzierając się przez tłumy. Wolny był teraz, ale czuł rosnącą trwogę i zdziwienie, szedł żwawo, aż znalazł się na Placu Opery oświetlonym elektrycznością.

„Teraz — pomyślał — panna Vandeleur może być zadowolona”.

Skierował się na prawo po linii bulwarów, wszedł do Café American i kazał podać sobie piwa. Było za wcześnie lub za późno dla większości bywalców tej kawiarni. Tylko kilka osób, wyłącznie mężczyzn, ciemniało jak plamy rozrzucone po sali przy stolikach. Francis był zbyt pochłonięty swymi myślami, by zwrócić na nich uwagę.

Wyjął chusteczkę z kieszeni. Było w niej zawinięte safianowe pudełeczko z ozdobami i klamerkami ze złota. Za naciskiem sprężynki Francis otworzył je i ku przerażeniu swemu ujrzał monsturalnej wielkości diament, który rzucał oślepiające blaski. Wszystko to było tak niezrozumiałe, wartość kamienia tak olbrzymia, że Francis siedział, patrząc

nieruchomo w otwarte pudełeczko, bez ruchu, bez świadomości, jak człowiek, który pod nagłym ciosem zidiociał.

Nagle na ramię jego lekko, lecz stanowczo opadła czyjaś dłoń, a głos spokojny, chociaż brzmiący rozkazująco, wymówił mu do ucha:

— Proszę zamknąć pudełeczko i opanować swój wyraz twarzy.

Podniósł wzrok i ujrzał człowieka jeszcze młodego, o powierzchowności spokojnej i ujmującej, ubranego z prostotą znamionującą jednak bogactwo. Człowiek ten wstał od sąsiedniego stolika, przyniósł swą szklankę i siadł obok Francisca.

— Proszę zamknąć pudełeczko — powtórzył cudzoziemiec — i włożyć je z powrotem do kieszeni, gdzie właściwie nie powinno by wcale się znajdować; jestem tego pewien. Proszę się postarać zmienić ten nieprzytomny wyraz twarzy i proszę się zachowywać, jakbym był pana znajomym, którego pan spotkał. Tak! Proszę trącić się szklanką ze mną. To lepiej. Boję się, proszę pana, że pan jest „amatorem”.

Cudzoziemiec wymówił te słowa ze szczególnym uśmiechem, oparł się o poręcz i zaciągnął się papierosem.

— Na litość boską — rzekł Francis — proszę mi powiedzieć, kim pan jest i co to znaczy? Dlaczego mam słuchać pana, nie wiem. Ale co prawda, uwikłałem się dziś wieczór w takie przygody i wszyscy ludzie na mej drodze zachowywali się tak dziwnie, że musiałem albo zwariować, albo przenieść się na inną planetę. Twarz pana wzbudza we mnie zaufanie, wydaje mi się pan rozumnym, dobrym i doświadczonym człowiekiem. Proszę mi powiedzieć, na Boga, czemu pan zwrócił się do mnie w tak dziwny sposób?

— Wszystko we właściwym czasie — odparł cudzoziemiec — musi mi pan wpierw odpowiedzieć, w jaki sposób Diament Rady trafił do pana?

— Diament Rady — powtórzył Francis jak echo.

— Nie mówiłbym tak głośno na miejscu pana — odparł drugi — ale na pewno ma pan Diament Rady w kieszeni, widziałem go w kolekcji sir Thomasa Vandeleur i trzymałem w rękę ze dwadzieścia razy.

— Sir Thomas Vandeleur! Generał! Mój ojciec! — zawołał Francis.

— Ojciec pana? — powtórzył nieznajomy. — Nie wiedziałem, że generał ma dzieci.

— Jestem synem nieślubnym, proszę pana — odparł Francis, rumieniąc się.

Tamten skłonił głowę poważnie. Był to ukłon pełen szacunku, ukłon człowieka w milczeniu przeproszającego równego sobie. I Francis, sam nie wiedząc czemu, uczuł ulgę, uczuł się pokrzepiony. Było mu dobrze w towarzystwie tego człowieka. Zdawało mu się, że uczuł grunt pod nogami. Odczuwał dla swego interlokutora coraz większy szacunek i machinalnie zdjął kapelusz, jakby w obecności zwierzchnika.

— Widzę — rzekł nieznajomy — że przygoda pana nie przeszła spokojnie. Ma pan oderwany kołnierz, podrapaną twarz i cięcie na skroni. Niech pan wybaczy mi moją ciekawość i wytłumaczy mi, skąd te obrażenia i w jaki sposób ma pan w kieszeni skradzioną rzecz tak olbrzymiej wartości.

— Myli się pan — odparł Francis gorąco — nie mam u siebie rzeczy skradzionej. Jeżeli ma pan diament na myśli, to dała mi go przed godziną panna Vandeleur na ulicy Lepic.

— Panna Vandeleur na ulicy Lepic! — odparł drugi. — Pan mnie zaciekawia więcej, niż pan przypuszcza. Proszę mówić dalej.

— O nieba! — zawołał Francis.

Pamięć jego uczyniła nagły skok i ujrzał pana Vandeleur biorącego jakąś rzecz z nadrzę otrutego gościa. Był teraz przekonany, że było to właśnie pudełeczko z safianu.

— Domyśla się pan czegoś? — zapytał nieznajomy.

— Proszę słuchać — rzekł Francis — nie wiem, kim pan jest, ale wydaje mi się pan człowiekiem uczynnym i godnym zaufania. Znalazłem się w dziwnych okolicznościach. Potrzebuję rady i pomocy, a ponieważ pan tego sobie życzy, opowiem panu wszystko.

I opowiedział mu swe przejścia od chwili, gdy adwokat zavezwał go do siebie z banku.

— Historia pana jest nadzwyczajna — rzekł nieznajomy, gdy młodzieniec skończył swe opowiadanie — a położenie pana jest trudne i niebezpieczne. Większość ludzi poradziłaby panu wyszukać swego ojca i oddać mu diament. Ale ja mam inne zamiary. Kelner! — zawołał.

Kelner podszedł.

— Proszę poprosić do mnie na chwilę dyrektora — powiedział i Francis zauważył jeszcze raz z tonu jego głosu, że był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

Kelner odszedł i po chwili wrócił z dyrektorem, który uklonił się z szacunkiem i unizonością.

— Czym mogę służyć? — zapytał.

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć moje imię temu panu — odpowiedział nieznanomy, wskazując Francisca.

Dyrektor zwrócił się do młodego Scrymgeoura.

— Pan ma zaszczyt zajmować stół razem z Jego Wysokością księciem Floryzelem Czeskim.

Francis wstał i złożył ukłon księciu, który prosił go, by zajął znów miejsce.

— Dziękuję panu — rzekł Floryzel do dyrektora — przepraszam, że fatygowałem pana dla takiej drobnostki.

I odprawił go skinieniem ręki.

— A teraz — zwrócił się książę do Francisca — proszę mi dać diament.

Bez słowa Francis oddał mu pudełeczko.

— Dobrze pan zrobił — skinął głową Floryzel — poszedł pan za dobrym natchnieniem i przez całe życie wdzięcznie pan będzie wspominał niepowodzenia tego wieczora. Człowiek, panie Scrymgeour, może wpaść w tysiączne powikłania, ale jeżeli serce jego jest prawe, a inteligencja jasna, wyjdzie z nich zawsze z honorem. Proszę się uspokoić; sprawy pana są w moich rękach, a jestem dość silny, by z Bożą pomocą zakończyć je pomyślnie. Proszę iść za mną do mojego powozu.

Książę podniósł się, pozostawiwszy sztukę złota dla kelnera, wyprowadził Francisca z kawiarni. Idąc wzdłuż bulwaru dotarli do miejsca, gdzie na księcia czekał skromny powóz i dwóch służących bez liberii.

— Ten powóz — powiedział książę — jest do dyspozycji pana. Proszę możliwie jak najprędzej zabrać swe rzeczy; służba moja zawiezie pana do willi w okolicach Paryża, gdzie, otoczony wygodami, będzie pan czekać, aż ureguluję położenie pana. Znajdzie tam pan ładny ogród, bibliotekę dobrych autorów, kucharza, piwnicę i dobre cygara, które polecam uwadze pana.

— Jeremi — zwrócił się do jednego ze służących — słyszałeś, co mówiłem. Oddaję pana Scrymgeour pod twoją opiekę. Wiem, że będziesz dbał o mego przyjaciela.

Francis wyjąkał kilka słów wdzięczności.

— Będzie mi pan dziękował — uśmiechnął się książę — kiedy uzna pana ojciec i kiedy ożeni się pan z panną Vandeleur.

Po tych słowach książę odwrócił się i udał w stronę Montmartre'u. Zawołał na pierwszą przejeżdżającą dorożkę, podał adres, a w kwadrans potem, pozostawiwszy dorożkę w pewnej odległości, zapukał do furki ogrodowej pana Vandeleur.

Otworzył ją z nieskończoną ostrożnością sam dyktator.

— Kto to? — zapytał.

— Proszę mi wybaczyć tę spóźnioną wizytę, panie Vandeleur — odparł książę.

— Wasza Wysokość jest zawsze miłym gościem — odparł pan Vandeleur, odstępując.

Książę, mając drogę otwartą, poszedł, nie czekając na zaproszenie gospodarza, prosto do domu i otworzył drzwi do salonu. Siedziały tam dwie osoby. Jedną z nich była panna Vandeleur. Na twarzy jej widniały ślady łez i jeszcze czasami wstrząsały nią łkania. W drugiej osobie książę poznał młodego człowieka, który przed miesiącem w palarni klubu radził się go w kwestiach „literatury”.

— Dobry wieczór, panno Vandeleur — rzekł Floryzel — wygląda pani na zmęczoną. Zdaje się, że to pan Rolles? Spodziewam się, panie Rolles, że skorzystał pan wiele, studiując Gaboriau?

Ale młody pastor był zbyt rozgoryczony, żeby mówić. Uklonił się tylko sztywno i gryzł wargi.

— Jakiż dobry wiatr — pytał pan Vandeleur, idąc za swym gościem — przyniósł tu Waszą Wysokość?

— Przyszedłem w pewnej sprawie — odparł książę — załatwiwszy ją z panem, poproszę pana Rollesa, by odbył ze mną małą przechadzkę. Panie Rolles — dodał surowo — przypominam panu, że jeszcze nie usiadłem.

Serce, Rozum, Cnota

Mr. Rolles zerwał się, przepaszając. Książę usiadł w fotelu za stołem, oddał swój kapelusz pannie Vandeleur, laskę zaś panu Rollesowi i zabrał głos:

— Jak powiadam, przyszedłem tu w pewnej sprawie. Ale gdybym przyszedł nawet dla przyjemności, nie mógłbym spotkać bardziej przykrego przyjęcia i znaleźć się w gorszym towarzystwie. Pan — zwrócił się do pana Rollesa — potraktował niegrzecznie człowieka wyższego stanowiskiem od siebie. Pan, Vandeleur, przyjmujesz mnie z uśmiechem, ale ręce twe nie są jeszcze oczyszczone z brudnych sprawek. Nie chcę, aby mi przerywano, proszę pana — dodał rozkazująco — jestem tu po to, żeby mówić, nie zaś słuchać. I proszę słuchać mnie z szacunkiem i wypełnić moją wolę dokładnie. W możliwie najkrótszym czasie córka pana ma wziąć ślub w ambasadzie z moim przyjacielem, Francisem Scrymgeour, uznanym za syna brata pańskiego. Zobowiąże mnie pan mocno, ofiarując im co najmniej dziesięć tysięcy funtów w posagu. Panu zaś polecę jakąś ważną misję w Syjamie. A teraz proszę odpowiedzieć mi w dwóch słowach, czy zgadza się pan na moje warunki czy nie.

— Niech Wasza Wysokość wybaczy — rzekł pan Vandeleur — i pozwoli mi zadać sobie dwa pytania.

— Masz pan moje pozwolenie — odparł książę.

— Wasza Wysokość — podjął dyktator — nazwała pana Scrymgeour swym przyjacielem. Proszę mi wierzyć, że gdybym wiedział o tej zaszczytnej przyjaźni, byłbym go traktował z odpowiednim szacunkiem.

— Pan zręcznie pyta — rzekł książę — ale to się panu na nic nie przyda. Ma pan moje rozkazy; gdybym nigdy przedtem nie oglądał tego młodzieńca na oczy, brzmiałyby one równie stanowczo.

— Wasza Wysokość tłumaczy moje słowa ze zwykłą sobie subtelnością — odparł Vandeleur. — Jeszcze jedno: na nieszczęście, policja poszukuje pana Scrymgeour, którego oskarżyłem o kradzież. Czy mam cofnąć czy też podtrzymywać to oskarżenie?

— Jak pan chce — odrzekł Floryzel — jest to sprawa między sumieniem pana a prawodawstwem tego kraju. Proszę mi dać kapelusz, a pan, panie Rolles, zechcesz mi dać laskę i iść za mną. Miss Vandeleur, życzę pani dobrej nocy. Sądzę — dodał w stronę Vandeleura — że milczenie pana oznacza całkowitą zgodę.

— Nie mam na to rady — odparł starzec — poddam się, ale nie bez walki. Oznajmiam to otwarcie.

— Pan jest stary — rzekł książę — ale lata nie przyniosły łaski takiemu bezbożnikowi, jakim pan jest. Starość pana jest bardziej bezrozumna niż młodość innych. Proszę mnie nie wyzywać, bo okażę się twardszy, niż pan może przypuszczać. Po raz pierwszy stanąłem w gniewie na pana drodze. Strzeż się pan, niech to będzie po raz ostatni.

Z tymi słowami Floryzel wyszedł wraz z pastorem i skierował się ku furtce. Vandeleur świecił mu i jeszcze raz otworzył złożony system zamków i zasuwek:

— Córki pana tu nie ma — rzekł książę na progu — więc powiem panu teraz, że rozumiem pańskie pogroźki. Ale wystarczy panu podnieść rękę, a ściągnie pan na siebie niechybną ruinę.

Dyktator nic nie odpowiedział, ale uczynił za odchodzącym gest wściekłości i groźby. W chwilę potem biegł do rogu, skręcił w przecznicę i podążył do najbliższego postoju dorożek.

Tu, mówi bazarz arabski — akcja oduraca się od domu z zielonymi żaluzjami. Jeszcze jedna przygoda — i skończy się historia Diamentu Radży. Ostatnia ta opowieść znana jest mieszkańcom Bagdadu pod nazwą „Przygody księcia Floryzela i detektywa”.

IV. PRYZGODA KSIĘCIA FLORYZELA I DETEKTYWA

Książę Floryzel szedł z pastorem Rollesem aż do drzwi hotelu, w którym ten zamieszkiwał. Wyrzuty, które mu czynił, słowa jego pełne życzliwości i surowości wzruszyły młodzieńca do łez.

— Zniszczyłem swe życie — mówił Rolles — proszę mi poradzić, co mam uczynić? Nie mam cnót kapłana ani przebiegłości lotra.

— Teraz, kiedy pan jest upokorzony — odparł Floryzel — przestaję rozkazywać. Człowiek skruszony ma do czynienia tylko z Bogiem, nie zaś z monarchami. Ale jeżeli

zechce pan posłuchać mojej rady, proszę jechać do Australii, poszukać tam ciężkiej pracy na świeżym powietrzu i zapomnieć, że był pan kiedyś duchownym i że widział pan kiedykolwiek ten przeklęty kamień.

— Zaiste przeklęty! — potwierdził gorąco Rolles — gdzież on jest teraz? Jakie nowe nieszczęście przyniesie ludziom?

— Nie przyniesie już nieszczęścia nikomu — odparł książę — jest w mojej kieszeni. Niech pan przyjmie tę wiadomość jako dowód zaufania dla tak świeżej jeszcze skruchy pana.

— Proszę pozwolić mi dotknąć swej ręki — błagał Rolles.

— Nie — odparł książę — jeszcze nie teraz.

Ton jego odpowiedzi był dość wymowny. Rolles zatrzymał się na progu i odprowadzał wzrokiem tego człowieka dobrej rady.

Kilka godzin książę błąkał się po odludnych ulicach, nie mogąc się zdecydować, czy ma zwrócić kamień właścicielowi niegodnemu tego skarbu, czy też na zawsze usunąć go sprzed oczu ludzi. Diament trafił mu do rąk w sposób istic opatrnościowy, a kiedy podziwiał blask jego przy świetle latarni, coraz bardziej odczuwał, ile zła może rozpętać.

„Boże chroń mnie od złego — pomyślał — jeżeli częściej będę patrzył na niego, gotów jestem go zaprzagnąć”.

Wciąż się jeszcze wahając, książę skierował w końcu swe kroki do małego, pięknego pałacyku na brzegu Sekwany, który od lat stanowił własność rodziny królewskiej. Herb — Czech — był wryty na bramie. Podwórze porastała murawa i piękne kwiaty. Autentyczny bocian, jedyny na cały Paryż, stał na przyczółku domu, a gromada gapiów wciąż go obserwowała. Słudzy, namaszчени i poważni, kręcili się dokoła; od czasu do czasu otwierała się brama i powóz wjeżdżał pod sklepienie.

Rezydencja ta z wielu względów droga była sercu księcia, w niej odczuwał radość zacisza domowego, tak rzadko znaną wielkim tego świata. I tego wieczora, gdy ujrzał łagodny blask w oknach swej siedziby, poczuł nieklamane zadowolenie i ulgę.

Gdy zbliżył się do furtki, przez którą wracał zazwyczaj, z cienia wystąpił jakiś człowiek i z ukłonem zagroził drogę księciu.

— Czy mam honor mówić z księciem Floryzelem Czeskim? — zapytał.

— Taki jest mój tytuł — odparł książę — czego pan chce ode mnie?

— Jestem detektywem — objaśnił człowiek — i mam zaszczyt wręczyć Waszej Wysokości list prefekta policji.

Książę przeczytał list przy świetle latarni. Wśród uniżonych przeprosin i czołobitnych uprzejmości zawierał prośbę, by książę zechciał udać się wraz z oddawcą niezwłocznie do prefektury.

— Krótko mówiąc — rzekł książę — jestem aresztowany.

— Prefekt był daleki od takiej intencji — odparł funkcjonariusz — zwracam uwagę Waszej Wysokości, że nie wydał rozkazu aresztowania. Jest to czysta formalność, grzeczność okazana władzom.

— A gdybym odmówił panu i nie poszedł? — zapytał książę.

— Nie ośmielę się ukryć przed Waszą Wysokością, że udzielono mi dość znacznych kompetencji — rzekł policjant z ukłonem.

— Daję słowo — zawołał książę — bezczelność wasza jest zdumiewająca! Nie mam tego za złe panu jako adiutantowi, ale naczelnicy pańscy drogo zapłacą za swą zuchwałość. Co może być przyczyną aktu tak niepolitycznego i sprzecznego z konstytucją? Zwracam uwagę, że nie wyraziłem jeszcze mej zgody i wszystko, detektywie, zależy od twej szybkiej i zręcznej odpowiedzi. Proszę pamiętać, że sprawa ta jest ważna.

— Wasza Wysokość — odparł ajent uniżenie — generał Vandeleur i brat jego ośmielili się oskarżyć Waszą Wysokość o kradzież. Oświadczają oni, że słynny diament jest w rękach Waszej Wysokości. Słowo zaprzeczenia z ust Waszej Wysokości najzupełniej zaspokoii prefekta. Posuwam się nawet dalej: jeżeli mnie, podwładnemu, zechce Wasza Wysokość złożyć swe zaprzeczenie, to natychmiast wycofam się za pozwoleniem Waszej Wysokości.

Floryzel aż do tej chwili traktował całe zajście jako komiczną przygodę, niepokoiło go tylko, że może zajść komplikacja dyplomatyczna. Na dźwięk imienia Vandeleura olśniła go prawda okrutna: był nie tylko aresztowany, był winien? Był to nie tylko przykry wypadek

— zagrożony był jego honor. — Co ma uczynić? Co ma powiedzieć? Diament Radży był to zaiste kamień przeklęty, a on był jego ostatnią ofiarą.

Jedno było pewne. Nie mógł zaprzeczyć oskarżeniu. Chciał zyskać na czasie.

Wahał się chwilę zaledwie.

— Niechże tak będzie — postanowił — idziemy do prefektury.

Detektyw uklonił się raz jeszcze i poszedł za księciem w przyzwoitej odległości.

— Podejdź pan — rzekł książę — mam ochotę na pogawędkę. Zdaje mi się, że nie po raz pierwszy spotykamy się tutaj.

— Wielki to zaszczyt dla mnie, że Wasza Wysokość mnie pamięta — rzekł agent — miałem honor rozmawiać z Waszą Wysokością przed ośmiu laty.

— Pamiętam twarz: to należy zarówno do mego fachu, jak do pańskiego — odpowiedział Floryzel — dobrze zważywszy, monarcha i detektyw pracują w tej branży. Obaj zwalczają zbrodnię. Tylko moje stanowisko jest ryzykowniejsze, pańskie zaś niebezpieczniejsze, ale zarówno jedno, jak i drugie mogą przynieść zaszczyt porządnemu człowiekowi. Chociaż wyda się to panu dziwne, wolałbym być detektywem z talentem i charakterem niż słabym i niedołężnym monarchą.

Agent aż ugiął się pod ciężarem zaszczytu.

— Wasza Wysokość płaci dobrem za złe i na wyrządzane przez nas przykrości odpowiada najwyższą pobłażliwością.

— Skąd pan wie — zaśmiał się Floryzel — czy nie chcę przekupić pana?

— Niechże Bóg mnie obroni od pokusy! — zawołał detektyw.

— Dobra odpowiedź — przytaknął książę — odpowiedź rozumnego i uczciwego człowieka. Świat jest olbrzymim składem bogactw i piękna i ofiaruje ludziom nieskończoną ilość wartości. Tego, kto odrzuca milion pieniędzy, może skusić władza lub miłość kobiety. Ja sam spotykałem pokusy tak silne, okoliczności tak nieprzeparate, że za pańskim przykładem polecałem się tylko Bogu. I tylko dzięki skromnym potrzebom możemy my obaj, ja i pan, kroczyć z czystym sercem przez miasto.

— Słyszałem już o dzielności Waszej Wysokości — zauważył agent — ale nie wiedziałem, że Wasza Wysokość jest mądry i pobożny. Wasza Wysokość mówi prawdę i mówi tonem, który mnie porusza do głębi serca. Zaiste, świat ten jest miejscem próby!

— Teraz — ciągnął dalej Floryzel — znajdujemy się pośrodku mostu. Proszę się oprzeć o parapet i spojrzeć w dół. Jak ta woda płynąca w dal, tak namiętności i komplikacje życia unoszą uczciwość słabego człowieka. Opowiem panu pewną historię.

— Jestem na rozkazy Waszej Wysokości.

I za przykładem księcia oparł się o parapet i przygotował do słuchania. Miasto już pograżyło się we śnie. Gdyby nie światła latarni i zarys budynków na rozgwieżdżonym niebie, mieliby wrażenie, że są zupełnie sami.

— Pewien oficer — rozpoczął książę Floryzel — człowiek mężny i zdolny, który dosłużył się już wysokiej rangi, zwiedzał skarbiec pewnego hinduskiego księcia. Tu ujrzał diament niesłychanej wielkości i piękności. Od tej chwili zapragnął go namiętnie, ponad wszystko w życiu. Gotów był poświęcić honor, opinię, przyjaźń, miłość ojczyzny za ten kawałek połyskliwego kryształu. Przez trzy lata służył temu radży, pół-barbarzyńcy, jak Jakub Labanowi; fałszował granice, pozwalał na morderstwa, niesprawiedliwie skazał na śmierć towarzysza broni, który nieuległym swym postępowaniem naraził się despotcie. W końcu, w czasie zamieszek, gdy kraj jego był w niebezpieczeństwie, zdradził swych żołnierzy, wystawił ich na zgubę, dopuścił, by wyrzynano ich tysiącami. Wreszcie zebrał wielki majątek i wrócił do domu z diamentem, którego pożądał tak chciwie.

— Minęły lata — ciągnął dalej książę — i diament zginął. Trafił do rąk studenta, pracowitego młodzieńca, duchownego, który rozpoczął swój zawód życiowy, tak pożyteczny dla ludzi. I na niego podziałał fatalny czar. Porzuca wszystko: pracę, święte swe powołanie i ucieka z klejnotem za granicę. Oficer, dawny posiadacz diamentu, ma brata, człowieka bez skrupułów, zuchwałego i chytrego. Ten odkrywa sekret pastora. Cóż czyni? Wyjawia to swemu bratu? Zawiadamia policję? Bynajmniej; i on ulega fatalnemu urokowi, i on chce klejnotu dla siebie. Usypia narkotykiem pastora i odbiera mu kamień. Kamień wpada w ręce innego człowieka... Jak? Mniejsza o to — a ten, przera-

Rzeka

żony widokiem bezcennego klejnotu, oddaje go na przechowanie osobistości na wysokim stanowisku, stojącej ponad wszelkim posądem.

— Imię oficera Thomas Vandeleur, klejnot ten to Diament Rady — księżę otworzył dłoń — i oto masz go przed oczami.

Ajent odskoczył z okrzykiem.

— Mówiliśmy o przekupstwie — podjął księżę — dla mnie ten lśniący kryształ jest tak obmierzły, jakby roilo się w nim robactwo mogilne, tak okropny, jakby splamiony był krwią niewinną. Widzę go w mej dłoni i wiem, że płonie ogniem piekielnym. Opowiedziałem panu tylko część jego historii. Wyobraźnia wzdryga się na myśl o zbrodniach i oszustwach, które wywołał. Przez lata całe służył on straszliwym władzom piekła. A teraz dość krwi, nieszczęścia, dość złamanych istnień, zerwanych węzłów przyjaźni. Złe, jak i dobre ma zawsze koniec; nie może trwać długo zaraza, podobnie jak nie trwa długo muzyka upajająca nasz słuch. I na diament przyszedł koniec. Boże, przebac, jeżeli czynię zło, ale dziś kończy się jego władza!

Księżę nagłym ruchem rzucił diament, który, zakreśliwszy łuk świetlny, wpadł w nurty rzeki.

— Amen — rzekł Floryzel z powagą — uśmierciłem narzędzie zbrodni.

— Na litość boską! — krzyknął detektyw — co Wasza Wysokość uczyniła? Przepadłem! To ruina dla mnie!

— Myślę — uśmiechnął się księżę — że wielu ludzi w tym mieście może pozazdrościć panu takiej ruiny.

— Niestety, Wasza Wysokość — rzekł agent — a jednak jest to przekupstwo, bądź co bądź!

— Zdaje się, że nie mogliśmy go uniknąć — odparł Floryzel — a teraz idźmy do prefektury!

Wkrótce potem odbył się cichy ślub Francisca Scrymgeour i panny Vandeleur, na którym księżę był drużbą. Obu Vandeleurów doszły pogłoski o tym, co się stało z diamentem. Wszczęli poszukiwania na dnie rzeki, wzbudzające podziw i wesołość przechodniów. Co prawda, mylnie wykombinowali i nurkowie szukali klejnotu nie w tym miejscu rzeki, gdzie został wrzucony.

Co do księcia, spełnił on już swą rolę w naszym opowiadaniu i mógłby wraz z autorem *Nocy arabskich*, wywinąwszy kozła, polecieć w przestrzeń. Ale chcąc zaspokoić ciekawość czytelnika, dodam jeszcze, że świeża rewolucja pozbawiła księcia Floryzela tronu czeskiego, gdyż naród był niezadowolony z ciągłej jego nieobecności i zaniedbywania spraw państwowych. Jego Wysokość ma teraz dystrybucję na Rupert Street, gdzie odwiedza go liczna klientela podobnych mu wygnańców. I ja tam przychodzę czasem wypalić cygaro i pogawędzić; znajduję wtedy w księciu tyleż wielkości, co w dniach jego blasku i chwały. Ma zawsze wygląd olimpijski za ladą. I chociaż siedzący tryb życia uwidocznił się na jego figurze, zbytnio wypełniając kamizelkę, zawsze jest jednak najładniejszym tytoniarzem w Londynie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stevenson-diamant-radzy/>

Tekst opracowany na podstawie: Robert Louis Stevenson, Dr Jekyll i Mr Hyde: opowiadania, Wielkopolska Księgarnia Wydawnicza, Poznań 1949.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Angelika Kuch, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-7434-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.